

**Zsuzsa Bank**

# **NAJGORĘTSZE LATO**

*Opowiadania*

*Przełożyła Elżbieta Kalinowska*

*Tytuł oryginału niemieckiego heissester sommer*

Dla M.

## OSTATNIA NIEDZIELA

Stoi tu, może półtora metra od Anny, jakby się bała podejść bliżej. Inni odsunęli się na bok, tworzą półkole. Czują, że nie powinni przeszkadzać, odwracają się z wahaniem, odchodzą jeden, dwa kroki, zaglądną do toreb, do zeszytów, patrzą na zegarki. Po wykładzie czekała w tłumie, aż skończą zadawać pytania, rozmawiać, patrzyła nad ich głowami na stół, na papiery, ołówki. Annie wydało się to dziwne, ale nie zastanawiała się, kim mogłaby być, tyle jest osób, które to robią: zatrzymują się, kiedy widzą, że inni stoją.

Pyta: Jesteś - i mówi jej nazwisko, jakby Anna mogła być kimś innym, a przecież każdy tu wie, kim jest, chociażby dlatego, że wypisano to na plakatach na korytarzu, przy drzwiach i na podium. Później powie, że wiedziała od razu, że wcale nie musiała pytać. Usłyszała ją w radiu rankiem, wywiad w jednym z tych nowych programów, pijąc pierwszą herbatę, wyjaśniła, jakby musiała usprawiedliwić swoją obecność. Poderwała się, żeby nastawić radio głośniej, reszta natychmiast ucichła, słuchali, a potem jechała przez całe miasto, nie poszła na uniwersytet, na zajęcia, rodzice jej pozwolili, biegła przez tę halę, przez tę wielką halę, żeby teraz, tutaj przed nią stanąć. Pyta, a więc jesteś... i wypowiada nazwisko Anny, całe nazwisko, jej głos brzmi niepewnie, niemal lękliwie, a Anna myśli, co jej przyszło do głowy, na co sobie pozwala, przecież wie, że to ja, każdy to tutaj wie, i mówi: tak, to ja, tonem, który daje do zrozumienia, że nie chce, żeby ją zagadywać, jakby miała czas dla każdego i o każdej porze.

Marti mówi swoje imię, Anna je zna: Marti. Zna jej rodziców. Zna ich dobrze, zwłaszcza matkę, zupełnie niepotrzebnie pyta, czyli jesteś córką...? Marti kiwa głową, prędko, gorliwie, jak gdyby wreszcie ją wybawiła, wreszcie wsparła, imieniem matki, które Anna powtarza, Zsóka, powoli, jakby chciała dać wybrzmieć każdej głosce, Zs-ó-k-a, by ponownie wypowiedzieć imię Marti i, przesadnie wyraźnie: a więc jesteś? jakby najpierw musiała zaznajomić się z myślą, że to ona, ta, za którą wzięła ją od razu. Na końcu języka ma zdanie o upływie czasu, o dorastaniu, ale milczy.

Zbliżają się do siebie o jeden mały, niezdecydowany krok, a może robi go tylko Anna, a Marti się nie rusza. Obejmują się niezręcznie i oszczędnie, jakby żadna nie wiedziała, jak to się robi w takich momentach. Marti walczy ze łzami, przeprasza, szuka chusteczki, żeby wytrzeć nos, a Anna szybko mówi na głos pierwszą myśl, jaka przychodzi jej do głowy, być może po to, by przeciwstawić coś poszukiwaniom Marti. Dawno się nie widziałyśmy, mówi,

wyduje mi się, że byłaś u nas z rodzicami, kiedy miałaś osiem lat, czy to możliwe? Pamiętam, jaka wtedy byłaś, bardzo dobrze pamiętam, nie chciałaś pić herbaty z powodu jej koloru.

Marti patrzy z niedowierzaniem, być może dlatego, że

Anna przypomina sobie rzeczy, które inni natychmiast zapominają, a ona mówi o nich, jakby miały decydujące znaczenie. Anna pyta: ile masz lat, a Marti odpowiada, dokładnie między dwadzieścia jeden a dwadzieścia dwa, tonem, który ma coś odeprzeć, niemal arogancko, jakby była to najlepsza odpowiedź na takie pytanie.

Stoją trochę zagubione. Anna mówi: nie mam czasu, widzisz, odwraca się i wskazuje na tłum gestem, który jej się nie podoba, wydaje się zbyt napuszony. Marti odpowiada: tak, widzę, mimo to nie rusza się z miejsca, jakby to nie był argument, jakby miała prawo, bezwarunkowe, być tu przy

Annie, z Anną. Umawiają się na następny dzień. Anna proponuje, żeby przyprowadziła rodziców, resztę też, najlepiej całą wielką rodzinę, a Marti odpowiada: tak zrobię, znów tym tonem, głośniejszym, zuchwalejszym, jakby zwyciężyła, wygrała.

Obejmują się jeszcze raz na pożegnanie, nieco dłużej, nieco mocniej, udaje im się uśmiechnąć, a Anna mówi, jakby w nagrodę, miło, że przyszedłaś, miło cię widzieć.

Spotykają się przy jednej z tych szerokich ulic, które zwykle rozdzierają miasto hałasem, w niedzielę jednak prawie nikt tędy nie jeździ. Anna widzi ich z daleka, stoją na umówionym rogu, kilka kroków za operą. Rozglądają się uważnie, nie wiedzą, skąd nadejdzie, nie znają ani ulicy, ani hotelu, w którym nocuje. Anna może zbliżyć się niezauważona, pojawić się nagle za ich plecami, klepnąć w ramię, rozłożyć ręce, jakby to właśnie był gest, na który czekali, i powiedzieć: witajcie, jestem. Nie zmienili się. Nie mogłaby nawet powiedzieć, że się postarzel. Może są mniejsi i bledsi, ale żeby to zauważyć, trzeba im się dokładnie przyjrzeć.

Ojciec Marti w pamięci Anny był większy. W brodzie pierwsze nitki siwizny. Zsóka nie zmieniła się ani trochę. Nawet fryzurę ma taką samą. Jak wtedy, kiedy miała piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści lat, Annie się podobała, ciemne, krótkie włosy z przedziałkiem z boku, zaczesywane zamaszyście na czoło, grube kosmyki zakładane za ucho szybkim ruchem. Wciąż te same małe, czerwone, trójkątne usta wykrojone w serce, mówiące dużo i nigdy głupio. Nosi się na czarno. To nowość. Wąska spódnica, bluzka, przy kołnierzyku trochę koronki, przez którą widać szyję aż do ramion, i Annie znów przychodzi do głowy, jak bardzo ich wszystkich lubiła, jak bardzo jej się podobali, zapomniała o tym i nie pojmuje, jak mogła zapomnieć, dopuścić, żeby się nie kontaktowali przez te lata, które sprawiły, że Marti tak urosła.

Marti jest mieszaniną ojca i matki, jakby każde z nich podzielono na pół, a połówki spleciono. Ciemne włosy nosi spięte w kucyk w kształcie znaku zapytania, sięgający szyi, przewiązany białą chustką nie na karku, lecz na czubku głowy. Okulary słoneczne o niezbyt ciemnych szklach zatknęła we włosach nad czołem. Jej skóra jest jasna, z maleńkimi brązowymi punkcikami pod oczami, na policzkach. Nic nie umyka jej uważnemu spojrzeniu. Patrzą na siebie, zapewniają, jak niewiele się zmienili, w ogóle się nie zmienili. Stoją na tej szerokiej ulicy, cichej w marcową niedzielę, pod błękitnym miejskim niebem przywołującym wiosnę i pierwszy raz, odkąd Anna tu jest, wypierającym szarość fasad.

Przynieśli Annie kwiaty, małe żółte i białe kwiaty, i nikt nie pyta z wyrzutem o to, czego Anna się bała i na co przygotowała głupie odpowiedzi, dlaczego się nie odezwała, będąc w mieście, na jednym z tych kongresów, których nie lubi, a jednak wciąż na nie jeździ, dlaczego nie zadzwoniła po tylu latach, żeby powiedzieć: jestem, zapytać: macie czas, zobaczymy się? Dlaczego musieli usłyszeć ją dopiero w radiu, przypadkowo, przy śniadaniu, w sobotni rano, przy pierwszej herbacie, zaspani, jeszcze nie do końca rozbudzeni, żeby się dowiedzieć, że tu jest, po latach po raz pierwszy znowu tu jest, i dlaczego Marti musiała jechać przez całe miasto, żeby ją odszukać i powiedzieć: chcemy się z tobą spotkać, chcemy cię zobaczyć.

Zastanawiała się nad tym wczoraj wieczorem, jadąc z centrum kongresowego do hotelu z papierami, kartkami i kolorowymi foliami, taksówką, ponieważ nie znosi metra z jego niekończącymi się ruchomymi schodami ginącymi w czeluściach, ze smrodem, gorącem, drzwiami, które zamykają się w jednej sekundzie, jakby musiały coś rozciąć, i później, w hotelu, gdzie ma do dyspozycji nie jeden pokój, a całe mieszkanie, z kuchnią i sypialnią, i łazienką z wolno stojącą wanną. Leżała w niej każdego wieczoru, żeby zmyć z siebie kurz i brud, z którym wciąż jeszcze to miasto najbardziej jej się kojarzy.

Czytelowała odpowiedzi także później, siedząc w szlafroku przy oknie, przy tym wielkim oknie sięgającym od ściany do ściany, od sufitu do podłogi, ukazującym dom naprzeciwko stojący tak blisko, że można by było do niego przeskoczyć, dom z poobijaną ciemną fasadą, łuszczącym się tynkiem, z brązowymi drewnianymi framugami okien ujmującymi w kwadrat gołe żarówki. Zastanawiała się nad niedorzecznymi usprawiedliwieniami jeszcze dziś rano, w ślepej sali śniadaniowej, gdzie każdego ranka serwują to samo, biały chleb, zeschnięty ser, marmoladę z puszki, i gdzie przez cały tydzień siadała obok niej kobieta z dwójką dzieci, z dwiema jasnowłosymi dziewczynkami.

Nie czytała gazety, nie dziś rano. Myślała o możliwych odpowiedziach, które nie wyjaśniały jednak, dlaczego się nie odezwała.

Idą do kawiarni, która pożegnała się prędko z przeszłością i wygląda teraz jak wszystkie kawiarnie świata, krzesła i stoły z ciemnego drewna, kolorowe ściany, długi bar, ekspres do kawy nieustannie gulgotce i syczy, obok wejścia tablica z wypisanym kredą menu dnia. Marti nie odstępuje

Anny na krok, siada obok niej, chłonie każde słowo, każde pytanie. Opowiadają sobie ostatnie lata, jakie były, co się z nimi działo, jak się zmienili, jacy są, jak żyją teraz. Opowiadają, pytają, siedząc nad czwartą filiżanką kawy i piątą szklanką wody, aż do zawrotu głowy, policzki czerwienieją, płoną, a oni śmieją się z siebie, z tego, jakie to głupie chcieć zamknąć wszystko w jednym popołudniu.

Wspominają dawne letnie miesiące, kiedy nie było jeszcze Marti, Anna była dziewczynką, a Zsóka już prawie kobietą. Te rzadkie letnie miesiące, odległe, a przecież dokładnie je pamiętają, wszyscy siedzący tu przy stole, z wyjątkiem Marti. I Annę te wspomnienia boją, teraz, kiedy ktoś zamawia jeszcze jedną kawę, wpadając w ton, który przybiera się zawsze, kiedy się wie, że coś minęło, coś znikło. Staje im przed oczami woda, w której pływali, jej błękit, zieleń i szarość, zależnie od pory dnia, ogrody, po których hasali, gra w karty w czasie deszczu, przy wielkim oknie, i światło wieczoru, które zapowiadało: jutro znów będziecie się mogli kąpać. Myślą o uczuciu pojawiającym się natychmiast, gdy się spotykali, ledwie nadchodził jeden z owych nielicznych miesięcy, kiedy po długiej podróży padali sobie przy płocie w ramiona, i które trwało niezależnie od tego, jak daleko od siebie byli.

Zsóka mówi jak kiedyś. Nie zmienił się jej głos ani spojrzenie, sposób, w jaki wypowiada zdania, zmuszając wszystkich do śmiechu. Nazywa Annę tak, jak od lat nikt jej nie nazywał. Zwraca się do niej tym zdrobnieniem, którym wołano ją, kiedy była dzieckiem, za każdym razem, gdy się do niej odzywa albo o coś pyta, i Annie nie przeszkadza, że Zsóka mówi do niej, jak już nikt od dawna, nie przeszkadza jej ani trochę, nie, wręcz jej się podoba.

Chcieliby odsunąć w czasie, odwlec ten ostatni uścisk.

Żegnają się długo, idą powoli. Co dwa kroki przystają, rozmawiają, przychodzą im do głowy nowe pytania, nowe opowieści. Zatrzymują się tam, gdzie skręca się do hotelu

Anny, na rogu, przy bladoszarym murze z plakatami zapowiadającymi coś, co dawno już się wydarzyło, i które

Anna zapamiętała, wbiła sobie do głowy pierwszego dnia, kiedy wszystko jeszcze wyglądało tu tak samo. Miasto jest jak wymarłe. Bezdomny prosi o pieniądze, a ojciec Marti mówi do Anny: widzisz, dawniej tego nie było, z ubolewaniem, jakby smucił się, że nie ma już tego, co było kiedyś, a w zamian pojawiło się nowe, którego wcale nie chce.

Jedno im się nie podobało, kiedy usłyszeli Annę w radiu, mówi Zsóka, jakby na zakończenie, jak gdyby chciała dać

Annie te słowa w prezencie, jakby nie chciała pozwolić jej bez nich odejść. Na pytanie, czy wróci, odparła: nie, z pewnością nie, nie ma przyczyny, powodu. Następnym razem, mówi ze śmiechem Zsóka, powinna powiedzieć: tak, oczywiście, że wrócę, już wkrótce, muszę przecież odwiedzić Marti i jej rodziców.

Anna wrzuca ubrania do walizki, powoli, jakby niechętnie. Staje przy wielkim oknie, patrzy na przeciwległą fasadę, na żarówkę odbijającą się jaskrawo w okiennej szybie. To jedna z tych chwil, kiedy nic się nie dzieje, a mimo to człowiek ich nie zapomina, jedna z tych chwil, kiedy nie trzeba nic robić, tylko stać i czekać, aż miną. Znosi walizkę na dół, winda jest zepsuta. Przy recepcji żądają od niej za dużo za telefony. Anna dzwoniła do domu codziennie po kilka razy. Często dzwoniła tylko w pustkę, i nawet za to chcą pieniędzy, za to dzwonienie w pustkę. To ułatwia pożegnanie. Taksówka wiezie ją przez spokojne niedzielne miasto, jest jasny, ciepły wieczór, który mówi jej: teraz, ponieważ odjeżdżasz, przyjdzie wiosna.

Piszą listy. Wielostronicowe, wszystko sobie opowiadają.

Rzeczy ważne i nieważne. Wciąż przywołują swoje spotkanie, jak ukryty wspólnie skarb. Zsóka pisze: sposób, w jaki trzymasz szklankę z kawą, dwiema rękami, jakbyś chciała je uspokoić, wcale się nie zmienił. Anna pisze: sposób, w jaki zakładasz włosy za ucho, w jaki rysujesz palcem kółka na blacie stołu, wciąż jest taki sam. Piszą nawet o pogodzie, omawiają ją, pogodę na zachodzie i na wschodzie. Tu, u Anny, lato nie chce przyjść, a jak już w końcu jest, to nie chce zostać, tam lato jest za gorące, ledwie da się je znieść w tym mieście z kamienia, ze studniami metra, natężonym ruchem i basenami, które w gorące dni są tak przepełnione, że Marti się boi, iż zostanie wepchnięta do wody i utonie.

Piszą o tym, co jedzą na śniadanie, oni jajka z cebulą i boczkiem, do tego czarna herbata, Anna owoce, pije kawę, dużą kawę, z dużą ilością mleka, nic więcej. Anna pyta, czym wypełniają dni, z kim spędzają wieczory. Gdzie robią zakupy.

Ile co kosztuje. Jak długo muszą na to pracować. I czym się zajmują, czego Marti uczy się na tym swoim uniwersytecie.

Każdy list kończy się pytaniami, wieloma pytaniami, i za każdym razem: cieszę się, że Was zobaczyłam, i: cieszymy się, że Cię spotkaliśmy, a pod spodem imiona, każde imię innym charakterem pisma, Marti ostatnie, najmniejsze, bez ozdobników, prawie jak drukowane. Przesyłają zdjęcia z urodzin, świąt Bożego Narodzenia, sylwestra i Anna wyobraża sobie, jak wyglądała ta chwila, kiedy mówili: zrobmy zdjęcie, dla niej. Jedną

fotografię Marti przypina do jasnoniebieskiej ściany nad biurkiem. Marti z włosami spiętymi w koński ogon. Okulary słoneczne zsunięte na czoło. Ma na sobie bluzkę z krótkim rękawem, z materiału w małe romby różowe i białe. Nie uśmiecha się, a mimo to wygląda, jakby się uśmiechała.

W pewnej chwili listy ustają. Anna czeka na pozdrowienia, na jakiś znak, na odpowiedź, której nie ma, chodzi do skrzynki i za każdym razem widzi, że nie ma koperty, nie ma szarej koperty, grubej i ciężkiej, zapowiadającej nowości od Marti, od Marti i jej rodziców. Usprawiedliwia ich.

Muszą się uczyć, muszą pracować. Wyjechali. Potrzebują przerwy. Nie mają akurat nic do opowiadania. Przychodzi jej do głowy, że mogła ich urazić, przebiega w myślach listy, żeby znaleźć coś, co mogło sprawić, że nie piszą od miesięcy. Wysła z podróży kartkę. Bez pytania, bez wyrzutu, raptem dwa zdania, o słońcu, o rybach, o kościołach, dwa zdania, o których sądzi, że mogłyby przypomnieć Marti i reszcie, że istnieje. Powiedzieć im, że czeka.

Pewnego dnia jakaś rozmowa schodzi na Marti, na Marti i jej rodziców, okrężną drogą Anna dowiaduje się, co się z nimi dzieje. Przypadkiem. Przy kawie i papierosie. Przygodnie, przy okazji, w bezlitosny sposób, bo nikt nie wie o jej listach, o ostatnich zdaniach. Zsóka odkryła pod skórą mały, twardy guzełek, pewnego przedpołudnia, w kąpielni, tam, gdzie mydło prześlizgnęło się po piersi, i teraz przyszło jej znosić to wszystko, co człowiek musi znosić, i cóż, wypadły jej włosy, jej ciemne włosy z przedziałkiem z boku, zsuwające się samowolnie na czoło. Najpierw Anna myśli o bluzce, którą Zsóka miała na sobie tamtego popołudnia, w tym mieście, w tej kawiarni, o czarnej koronce, leżącej na tych piersiach, na tym maleńkim guzełku, i nagle boli ją nawet przetykanie, dłoń musi się czegoś przytrzymać, oparcia krzesła, kantu stołu, a przez głowę przelatuje tylko: to nieprawda, nie.

Później wciąż będzie sobie wyobrazać, jak Zsóka rozmawia z lekarzami, podnosi rękę, bo tak robi, kiedy mówi szybko, wychodzi z pokoju, zamykając cicho drzwi, jak gdyby nie wolno było ich zamknąć głośniejszym, jakby istniała zasada obowiązująca w takich momentach. Jak idzie wolniej niż zwykle, udaje, że wszystko w porządku, uśmiecha się sztucznym uśmiechem. Zsóka na tylnym siedzeniu samochodu, wygląda przez okno, patrzy na miasto, w którym życie toczy się dalej, z tą samą prędkością, tak samo głośno, na ulicach, na chodnikach, przy wejściach do stacji metra. Jak później siedzi w łazience, w wannie, do której długo nupuszcza wodę, żeby nie słyszeli tego, co się z nią teraz dzieje, jak nocą leży w łóżku, czuwa, podczas gdy oni śpią, wstaje, by pójść bosą do kuchni, przejrzeć kalendarz, zobaczyć, policzyć, jak długo jeszcze.



Anna pisze. Radosne listy, błahe, grzeczne. Pisze o czytanych książkach, opowiada historie. Pisze, co grają w kinie, i za każdym razem pyta: Znacie to? Też to widzieliście?

Podoba się Wam? A potem skreśla pytania, żeby nie pomyśleli, że muszą odpowiedzieć. Wmawia sobie, że te listy mogą oddalić Marti i jej rodziców od tego, co ich otacza, przynajmniej na dwadzieścia minut, przynajmniej na pół godziny, przynajmniej na czas potrzebny na ich przeczytanie, powoli, jak mają w zwyczaju. Nic nie wydaje jej się za głupie. Opowiada o odkrytym basenie, który otwierają zawsze pierwszego maja, chodzi tam pływać co drugi rano, kiedy jest jeszcze pusto. O nowych szafkach do swojej białej kuchni, które w domu nagle przestały się jej podobać, więc je przemałowała na balkonie na jasnoczerwono, o psie nowych sąsiadów, który szczeka wieczorami przez bite dwie godziny, od siódmej do dziewiątej, słycać go przez ścianę, a ona nie może oglądać wieczornych wiadomości. Wmawia sobie, że gadanina o psach, basenach, szafkach i wieczornych wiadomościach może odwrócić ich uwagę, przywołać codzienność, w której szczekający pies, nieładna szafka są największym powodem do zmartwień.

I nagle przeraża ją myśl, że właśnie to ją zdradzi, właśnie to powie im, że ona wie, tylko nic nie mówi.

Pewnego październikowego dnia, kiedy w bladym słońcu pokazują się ciemnoczerwone liście, znajduje w skrzynce żółtą kopertę. W tym beczelnie żółtym kolorze, z tym krzykliwym charakterem pisma, telegram dla pani! o wiele za radosnym, zbyt żywym. Jego tekst już zna. Telegram, który ją przesładował każdego dnia ostatnich miesięcy. Wiedziała, że przyjdzie, ale miała nadzieję, że nie tak szybko.

Jeden z tych telegramów, które układa się, żeby przekazać coś jednym zdaniem, jak gdyby nie wolno było nic dodać, jakby takie rzeczy można było mówić tylko w ten sposób, jednym zdaniem, bez ogródek, krótko, zwięźle, nazwisko, godzina, data.

Zapomina włożyć płaszcz, schodzi po schodach, idzie przez park, wzdłuż wody. Chodzi w kółko. Ten sam park, ten sam most, te same domy, ci sami ludzie na ławce. Chodzi i patrzy na wodę. Nie może przestać. Jakby to chodzenie i patrzenie mogło ją podtrzymać, ochronić. Jak gdyby chodziła po pokoju, z którego nikt jej nie przegania, pokoju, po którym może chodzić, jak długo zechce. Jest już późno, kiedy zbiera się na odwagę, żeby wrócić do swojej kuchni, do stołu, na którym leży żółta koperta. Czeka, aż w oknie pokaże się poranek, z granatem, który zawsze wygląda tak samo, dziś też.

Myśli o Zsóce, o latach z nią, o jej małych, czerwonych, trójkątnych ustach wykrojonych w serce, o sposobie, w jaki mówi, szybko, z uniesionymi rękami, o jej spojrzeniu, kiedy obejmowały się z Marti w pustym mieście, na rogu ulicy, pod bladyszarym

murem z plakatami, które zapamiętała, żeby znaleźć drogę do hotelu, tej niedzieli, o której nie mogły wiedzieć, że będzie ostatnia, i o brzmieniu jej głosu, kiedy zwracała się do niej zdrobniałym imieniem, jakby

Anna ciągle jeszcze była dziewczynką i jakby nie było lat pomiędzy.

## LYDIA

Skakałyśmy wtedy, Lydia i ja, tak wysoko i tak często, jak tylko mogłyśmy, z rękami nad głową, w kolorowych sukienkach, podkurczając nogi, w ciężkich butach, których wolno nam było nie zdejmować i które czasem rozwiązywały się i spadały. W dole przy porcie, gdzie za wielkimi kratami i znakami zakazu kołysały się na wodzie cztery małe łódki, może pięć, nie więcej, pewnie dlatego, że to nie był prawdziwy port, tylko brązowa woda i niekończący się betonowy plac, gdzie cyrk rozstawiał w letnie miesiące swoje wozy i namioty, i budy. I batut, wielki batut, na którym mogłyśmy skakać za pięćdziesiąt fenigów, Lydia i ja.

Lydia patrzyła przez lunetę ustawioną przy wodzie obok kraty na długo przed tym, zanim się tu pojawiłyśmy, kiedy jeszcze były tu żurawie i statki, i hale, i wagony, patrzyła też przez inne lunety, przy każdej okazji, wszędzie. Nie rozumiałam, dlaczego tak lubiła patrzeć przez ciemną rurę, która ogranicza świat, pokazując ledwie jego wycinek, ale być może ja nie lubiłam tego wyłącznie z tego powodu, że tak bardzo lubiłam Lydię i chciałam, żeby raz nie podobało mi się coś, co podoba się jej, choćby miało to być tylko patrzenie przez lunetę. Nie pojmowałam, co mogła widzieć, co w ogóle ktokolwiek mógł widzieć - ja widziałam jedynie kolor zielony i zanim udało mi się nastawić obiektyw, soczewka zamykała się i robiło się czarno.

Lydia za każdym razem udawała, że tylko ona widzi to, co widzi, że nikt inny nie może tego zobaczyć, jakby luneta, przez którą patrzyła, nie była zwykłą lunetą, do której każdy może wrzucić pieniądze, lecz że zrobiono ją specjalnie dla niej, tylko dla niej, jakby mogła ją obsługiwać wyłącznie ona. Podczas naszych spacerów, włóczęg, wycieczek nie przepuszczała żadnej, nawet tej na wieży widokowej w pobliskim lesie ani tej na tarasie lotniska. Za każdym razem stawała w swoich grubych butach na maleńkim metalowym podeście, latem i zimą, przytrzymywała się uchwytów z prawej i lewej strony, farbujących palce na czerwono, i podciągała się.

W pewnym momencie wszystko to przestało jej się podobać i ani ona, ani ja nie wiedziałyśmy dlaczego, luneta i skakanie, różowa i biała wata cukrowa, którą skubałyśmy palcami, pozostawiająca na zębach kryształową powłoczkę, a nawet rozległe letnie niebo z chmurami, pojedynczymi mewami i śladami po samolotach, to niebo, które zawsze lubiła, bo zmieniało kolor za każdym razem, kiedy patrzyłyśmy w górę. Przedtem wystarczało nam, że leżałyśmy na betonie obok łódek i patrzyłyśmy w niebo, po którym między cumulusami i

mewami szybowwały puszczane przez inne dzieci latawce wypożyczone z cyrku, spadające, ledwie zmieniał się wiatr, z trzaskiem uderzające szpicem o beton jak wypuszczona przez kogoś strzała. Nazywałyśmy to letnie niebo naszym niebem, bo podobało nam się, że przyjmuje posyłane, pędzone w górę latawce i że zmienia kolor w jednej chwili.

W swoje szesnaste urodziny Lydia przestała nosić ubrania kupowane dla nas przez jej matkę. Ubrania zamawiane za ostatnie pieniądze z katalogów leżących przy drzwiach wejściowych wiosną i jesienią. Matka Lydii przeglądała je tygodniami, zaznaczając strony metalowymi biurowymi spinaczami za każdym razem, kiedy coś jej się spodobało, kiedy uznała, że mogłoby ładnie wyglądać na Lydii i na mnie.

Dwa lata później Lydia spakowała swoje jedyne dwie małe torby, włożyła do nich to, co najpotrzebniejsze, dwie książki, dwa zeszyty, zdjęcie, kilka ubrań. Już dużo wcześniej zapowiedziała matce i mnie, że rozpocznie nowe życie, odmalowała, jak je sobie wyobraża. Znała je, teraz, kiedy się jeszcze nie zaczęło, w myślach urządziła nawet swój nowy pokój, meblami i dywanami, które będą wyglądały inaczej niż u matki. Będzie nosiła rękawiczki, powiedziała, z jasnej skóry, o każdej porze roku, ubrania będzie kupowała w Londynie, tylko tam, w żadnym innym mieście świata. A my, matka Lydii i ja, pozwalałyśmy jej mówić, nie wierząc, bo często opowiadała różne rzeczy i zapominała o nich, ledwie je wypowiedziawszy, rzeczy, które nigdy się nie przydarzały, przynajmniej nie tak, jak je sobie wyobrażała. Być może nie chciałyśmy jej wierzyć, bo nie chciałyśmy życia bez Lydii. Do mnie Lydia powiedziała: jak będziemy stare, ty i ja, bardzo stare, to będziemy miały siebie, wciąż jeszcze, albo znowu, i wtedy nic nam nie będzie przeszkadzało, ani jesień, ani zima, ani nasze siwe włosy. Będziemy miały siebie, powtórzyła dwa miesiące przed tym, jak znikła, zostawiając mnie z pytaniem: kiedy?

Matka Lydii długo siedziała przy oknie, na krześle pomalowanym na biało poprzedniego lata przez Lydię i przeze mnie, bo każdego lata malowałyśmy wszystkie meble matki Lydii na biało. Pozwalała nam na to, tak jak pozwalała na wszystko, co wymyślała Lydia, i potem, kiedy odeszła, siedziała przy oknie, na jednym z tych krzeseł, na którym Lydia w środku bieli wymalowała pasek i dwa blad różowe kwiatki za pomocą własnoręcznie wyciętego szablonu. Nie zdjęła płaszcza, starego płaszcza w kratę, który nie pasował do jej spódnicy i który Lydia zawsze chciała schować, spalić, nie zdjęła też rękawiczek, jedną ręką wczepiła się w płaszcz, jak gdyby ten kawałek materiału mógł ją podtrzymać.

Czekałyśmy, matka Lydii i ja, i upłynęło dużo czasu, zanim zrozumiwałyśmy, że jej nie ma, że zatrzasnęła drzwi i sfrunęła w ciemnej kurtce i czapce po schodach, w dół ulicy, do

przystanku, z dwiema małymi torbami i biletem, na który długo oszczędzała, i pojechała na lotnisko, a potem wsiadła do samolotu, za którym nie chciałyśmy patrzeć, matka Lydii i ja. Ale wyobrażałyśmy sobie, nadal siedząc na białych krzesłach przy oknie, nawet wiele dni i tygodni później, wyobrażałyśmy sobie, że zanim wsiadła do samolotu, pobiegła ze swoimi dwiema torbami na taras widokowy, w ostatniej chwili, nim wywołano jej samolot, żeby jeszcze raz popatrzeć przez lunetę, z rękami na uchwytach z prawej i lewej strony, ostatni raz.

A teraz na moim łóżku leży ta kartka, obok klucz na czerwonej tasiemce, ognistoczerwonej, i adres, londyński adres, odcisnięte w pocałunku usta Lydii, także ognistoczerwone, odbijane przez nią na każdym liście, i pin, który trzeba wklepać, jeśli się chce otworzyć drzwi, i sześć słów, tak jak pisze zawsze, to nie jest list, raczej hasło: Come to see - fali and me.

Upłynie trochę czasu, nim zadzwonię, może dlatego, że za często myślę o tym, że nigdy do nas nie przyjechała, ani na jeden dzień, żeby zobaczyć matkę, że każdego lata wynajdywała preteksty, które niczego nie wyjaśniały, wciąż jeszcze za często myślę, że nie tylko udawała, że już do niej nie pasujemy, lecz także kazała mi sądzić, że nigdy do siebie nie pasowałyśmy, nie było jej i mnie, ubrań z katalogów, miejsca nazywanego przez nas portem, cyrku rozstawiającego batut i wypożyczającego latawce, lunet, przez które mogła patrzeć. Czuję ulgę, teraz, kiedy włącza się automatyczna sekretarka powtarzająca głosem Lydii po angielsku wybrany przeze mnie numer telefonu, i mówię coś cicho, z wahaniem, coś, co zaczyna się od: Cześć, Lydia, tak. Bezsensowne, nic nie mówiące „tak”, które niczego nie ułatwia, i później, kilka godzin później, Lydia oddzwania i pyta: Coś ci jest? Masz taki dziwny głos.

Odbiera mnie z lotniska, śmieje się tym swoim szerokim śmiechem, nie przestaje, obejmuje mnie, nie cofa ramienia także później, w tramwaju, na ruchomych schodach, w klatce schodowej domu, obok skrzynek na listy, w małej windzie, która wiezie nas na górę, zamknięta czarną kratą.

Prosi, żebym otworzyła, kluczem na czerwonej tasiemce, który mi przysłała, stoi obok, patrzy na moje ręce, na to, jak przekręcam klucz, i wygląda, jakby czekała na tę chwilę, tęskniła za nią.

Jej mieszkanie jest pomalowane na kremowobiało, łóżko zasłane białą pościelą, ręczniki w łazience i kuchni też są białe. Lydia mówi, że nie znosi innego koloru, ani na meblach, ani na ścianach. W kuchni nad białymi kafelkami przy zlewie przypięła do ściany dwiema szpilkami zdjęcie, które jej matka zrobiła nam wtedy: Lydia i ja bez głów. Pokazuje nie nas, tylko nowe sukienki z materiału usianego maleńkimi kwiatkami. Jednak i bez głów

jesteśmy rozpoznawalne na pierwszy rzut oka, choćby dlatego, że tak, a nie inaczej, trzymamy ręce, każda na swój sposób.

Moje są zaciśnięte w pięści, wygląda, jakbym chciała je schować, cofnąć. Dłonie Lydii są otwarte, nawet gdy stoi zatrzymana w ruchu. Lydia pyta: Pamiętasz jeszcze tamte katalogi? I próbuje się uśmiechnąć, ale wygląda, jakby się złościła, wciąż jeszcze. Dziewczęce sukienki, powiedziała wtedy matka Lydii, dziewczęce sukienki, powtórzyła Lydia, lecz zupełnie innym tonem, i jestem pewna, że matka nie chciała, żeby na zdjęciu widać było twarz Lydii, jej wzrok, tylko sukienki, które pasowały na nas dłużej niż przez jedno lato, z wąskimi, białymi plastikowymi paskami, i szare rozpinane swetry. Lydia napisała grubym ołówkiem w rogu: Lydia i Vicki - piękne i bez głów.

Chodzi po mieszkaniu, nastawia kawę, pyta: Pijesz ją jeszcze, tak? A potem mówi, że ma dla mnie pierścionek, pierścionek, który dla mnie zaprojektowała, tylko dla mnie, z bladym błękitem, bo błękit to mój kolor, błękit, jak znane nam z tamtych czasów niebo, błękit, który nieustannie się zmieniał, właśnie ten błękit, czy pamiętam? Wsuwam pierścionek na palec, zastanawiam się, jak jej się udało, po tych wszystkich latach, zaprojektować dla mnie pierścionek, zrobić go tutaj, pod tą małą białą lampą, małymi szczypcami, pierścionek z drutów i przezroczystych kamieni, który od razu mi się podoba, bo ma w sobie mój błękit, i który pasuje jak ulał. I Lydia mówi: pięknie wygląda ten pierścionek na twoim palcu, i patrzy na moje ręce tak, jak tylko ona potrafi patrzeć, oczy nieco mniejsze niż zwykle, głowa przechylona na bok, dłonie wsparte na biodrach.

Lydia wygląda tak, jak wygląda, ponieważ nie je, bo odmawia sobie prawa do głodu, bo ssie watę nasączoną ziołową herbatą, jeśli jej nie powstrzymam. Jej mała lodówka jest pusta, prawie pusta, butelka starego soku, którego data ważności dawno już minęła, żelowa maseczka na oczy, którą nakłada rano na powieki, kiedy pije bezkofeinową kawę, w białym szlafroku, w białym ręczniku zawiniętym jak turban, w białych frotowych pantofelkach bez palców, paznokcie też ma pomalowane na białe. Kiedy siedzi rano naprzeciwko mnie, przy podzielonym białymi szprosami oknie, które podnosi po każdym trzecim, czwartym papierosie, wciąż przychodzi mi na myśl, że nie będzie dla nas wspólnej starości, w każdym razie nie takiej, jaką sobie wymyśliła wtedy, na krótko przed swoim odejściem: ona i ja, pochylone, zgarbione, wzajemnie się podtrzymujące.

To zdanie wraca do mnie także później, w ciągu dnia: Nie będzie dla nas starości.

Myślę o tym także, kiedy wychodzimy z mieszkania.

Lydia biega od sklepu do sklepu, od jednego coffee shopu do drugiego, wchodzi i wychodzi z brzękiem dzwonka u drzwi, i z głośnym hello-o-o, przeciągając o, tak jak robi to

tylko ona, jej hello-o-o jest trochę jak zaproszenie, wyzwanie, trochę też jak groźba, jakby inni byli po to, żeby ją zabawiać. Myślę, że nie będzie dla nas starości, może dlatego, że sądzę, iż Lydia nie jest człowiekiem, który się zestarzeje, który kiedykolwiek będzie wyglądać staro, który pozwoli na jedną zmarszczkę na twarzy, myślę to także teraz, przyglądając się, jak przemierza sklep na ukos, w okularach a la Jackie O., z zafarbowanym kosmykiem klejącym się do czoła, w czarnym kostiumiku, w spódnicy sięgającej ledwie za kolano i odsłaniającej tak duży kawałek nogi, że robi mi się trochę niedobrze, może dlatego, że jej nogi są, jakie są, w butach na wysokich obcasach, rzemyki oplatające kostki dzielą nogę Lydii na górę i dół.

Wtedy, kiedy piętnasto-, szesnasto-, siedemnastoletnie miałyśmy siebie każdego dnia, w każdej godzinie, nie przeszkadzało mi, jeśli brano nas za parę. Podobało mi się, że sądzono, iż mogłabym być z kimś takim jak Lydia i że Lydia chciałaby kogoś takiego jak ja. Bawiło nas puszczenie w obieg plotek, kłamstw i historyjek, śmiałyśmy się, kiedy inni wierzyli nam i szeptali za naszymi plecami, chichotali, wytykali nas palcem. Ale teraz mnie to drażni, po raz pierwszy drażni mnie, że można by nas wziąć za parę, w każdym z tych coffee shopów, w każdym z tych sklepów, drażni mnie za każdym razem, kiedy Lydia popycha drzwi z tym brzękiem dzwonka, a ludzie na nas patrzą, na Lydię i na mnie.

Pijemy herbatę, którą przynoszą nam w srebrnym dzbanku, do tego scones\*, Lydia nie zjada nawet jednej. Potem idziemy przez wielki park, bo się upieram, Lydia wygląda, jakby się nudziła, bez ludzi, bez sklepów. Liście szybują w dół, żółte, brązowe jesienne liście. Masz liść we włosach, mówię, wyjąć go? Lydia kiwa głową, sięgam do jej włosów, pokazuję liść, mały, czerwony, potem i on spada obok nas na ziemię. Jakiś chłopiec w jednym z tych ciemnych krótkich płaszczków noszonych tu przez dzieci biegnie przez lśniący zielony gęsty trawnik. Trzyma w rękach sznurek.

Różowy latawiec trzepocze na tle nieba bez koloru, daleko w górze, latawiec jak te, które oglądałyśmy wówczas, leżąc na betonie w porcie, z ramionami skrzyżowanymi nad głową. Lydia zatrzymuje się, patrzy w górę za unoszonym wiatrem latawcem, który szarpie i ciągnie chłopca, chłopiec biegnie coraz szybciej, robi się coraz mniejszy, stoimy przez chwilę, aż Lydia mówi: wygląda, jakby ten latawiec chciał go porwać.

## ERA LODOWCOWA

Zapowiadali śnieg. Ma spaść dziś w południe, przy temperaturze około zera. Jak na tę porę roku jest za ciepło, powiedziała Becky przez telefon. Carola wypożyczyła samochód, żeby Becky po nią nie wyjeżdżała. Pamięta jeszcze, jak wyglądał jej dzień, przed laty, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy z mężem i domem, i całą trójką dzieci, miała tak mało czasu, że nie mogła nawet podejść do telefonu. Becky uparła się, że przyjedzie na lotnisko, ze strachu, iż Carola utknie wypożyczonym samochodem w zapowiadającym śniegu, na drodze, w rowie. Carola podała jej złą godzinę przylotu i później, gdy zadzwoniła z wypożyczalni, żeby powiedzieć, że już jest i zaraz wyjeżdża, Becky roześmiała się tym swoim śmiechem, który rozbrzmiewa jeszcze, gdy inni dawno już przestali się śmiać.

Pracownik wypożyczalni zapisał Caroli numery dróg i nazwy miejscowości, żeby nie przeoczyła skrzyżowań i zjazdów, a potem dwa numery telefonu, położył je na ladzie, zakreślił żółtym pisakiem i powiedział cicho: in case, you get lost. Samochody suną bezgłośnie i powoli po szerokich drogach, pod wielkimi zielonymi znakami z białymi literami. Carola włącza migacz częściej, niż powinna, tylko po to, by usłyszeć ten odgłos, to stłumione, powolne klik-klak, żeby zobaczyć na desce rozdzielczej małą niebieską strzałkę, która pojawia się i znika do taktu. Ziemia jest tu płaska.

Brudnobrązowy zimowy dzień klei się do pól. Niebo jest matowoszare. Ani śladu śniegu.

Skręciwszy w drogę prowadzącą do domu Becky, szeroką i płaską jak wszystkie drogi w tych miejscowościach, z nielicznymi domami i wielkimi ogrodami bez płotów, widzi dzieci w kolorowych kombinezonach, z dyndającymi z rękawów rękawiczkami, w wysokich plastikowych śniegowcach sznurowanych pod kolanem, w czapkach z długimi pomponami, które naciągają na głowy tak, że widać tylko oczy, i w których wyglądają jak krasnoludki. Czekają przed domem na Carolę, na to, że jej wypożyczony samochód wyjedzie zza rogu, a one będą mogły pobiec, stukać w szyby, szarpnąć drzwiami od strony kierowcy i wrzeszczeć Carol! i welcome!, jak kiedyś nauczyła je Becky. Wyciągnęły

Carolę z samochodu, nie pozwoliły nawet założyć kurtki, chłopiec bierze ją za lewą rękę, mniejsza dziewczynka klei się do lewej nogi, starsza kroczy przodem, jakby musiała wskazywać Caroli drogę, tu, te ostatnie metry między zbutwiałą trawą, do schodów, na których w męskim rozpinanym swetrze z wzorem w warkocz, w grubych pantoflach stoi Becky i otwiera ramiona.



Carola wydaje się sobie głupia, natychmiast wydaje się sobie okropnie głupia, w tych swoich butach na wysokich obcasach, w jasnych rajstopach i z uszmiłkowanymi na czerwono ustami, w szalu, który nikogo nie ogrzeje w środku tej pustki, jak mówi Becky, gdzie nikt nie wpadłby na pomysł, by od października do kwietnia zakładać cokolwiek innego niż kombinezony i sznurowane śniegowce.

Długo się obejmują, przyglądają się sobie, trzymają się za ramiona, za ręce, śmieją się, potrząsają głowami, znowu się obejmują. Dzieci szarpia obydwie, jakby im się spieszyło, jak gdyby nie wolno było tracić czasu. Ściana domu jest pomalowana kolorowymi pisakami, dom, słońce, bałwan, ptaki, kobieta z trójką dzieci trzymających się za ręce. Carola wskazuje na rysunki, Becky śmieje się, wzrusza ramionami i mówi: następny śnieg, następny deszcz to zmyje.

Becky pachnie migdałami, cynamonem, pachną jej włosy, szyja. Piekła gofry, z gofrownicy w kuchni wylewa się ciasto, czerwona lampka zapala się i gaśnie, i podczas gdy dzieci zdejmują kombinezony i śniegowce, siadają przy stole, stukają sztućcami w talerze, wołają Carol! Carol! i kłócą się, kto koło kogo ma zająć miejsce, Carola rozgląda się prędko, tylko po to, by się upewnić, że jest tu, gdzie chciała być już od tygodni, za czym zaczyna tęsknić każdego roku, ledwie dni stają się krótsze, krótsze i ciemniejsze, gdy jesień ostatecznie się pożegnała, drzewa są bezlistne, a niebo nie wygląda jak niebo, tylko jak brudna, gruba ścierka.

Dzieci siedzą przy trzech wielkich oknach prowadzących na taras, koty leżą pod oknami w koszu, na włóczkowym kocu zasłanym sierścią, którą nikt się tu nie przejmuje.

Podnoszą głowy i natychmiast je odwracają, z tym niewzruszonym kocim spojrzeniem, zamykają oczy. Schody z tarasu do ogrodu nie są jeszcze gotowe. Nie są gotowe od lat i Carola zaczęła podejrzewać, że Becky jest obojętne, czy w ogóle zostaną zbudowane, te schody, na które przygotowano dwa worki cementu i betoniarkę, czekające od lat w garażu. Za ogrodem zaczynają się pola i łąki. Resztki śniegu na ich obrzeżach wyglądają jak małe niezamieszkałe wyspy na zielono-brązowym morzu. Kiedy Carola przyjeżdża latem, dzieci skaczą w nadmuchiwany basenie, a Becky i ona siedzą na tarasie bez schodów, piją różową lemoniadę z lodówki i opierają bosc stopy na rozkładanych krzesłach, które Becky wynosi z piwnicy wraz z pierwszymi promieniami słońca.

Do drzwi lodówki przyklejone są zdjęcia i kartki z imionami i numerami telefonów, na wszelki wypadek, odkąd są dzieci, i pocztówki przysyłane przez Carolę z podróży, w które Becky nigdy nie pojechała i nigdy nie pojedzie.

Wyjeżdża raz w roku na dwa tygodnie latem, kiedy dzieci nie chodzą do szkoły, na kamping w parku narodowym na północy. Ustawiają samochód kampingowy pod sosnami nad brzegiem jeziora, gdzie poza nimi nie ma nikogo, dzieci w krótkich spodenkach wałęsają się po lasach z podrapanymi nogami, skaczą w kółko do wody z drewnianego pomostu, do którego przycumowany jest ich kajak, wieczorami na długich patykach pieką w ogniu marshmallows\*, przyglądają się komarom wlatującym w płomień, a potem nocą, leżąc pod moskitierami w wąskich łózkach, czekają na niedźwiedzie buszujące w śmieciach w poszukiwaniu resztek.

Carola spędziła z nimi w ten sposób jedno lato, nie korzystały z Becky z samochodu, chodziły na piechotę, godzinami, codziennie, przyglądały się ptakom latającym nad wodą i za każdym razem, kiedy było im za gorąco, wskakiwały do jednego z wielu jezior. Wczesnie rano, gdy inni jeszcze spali, wychodziły z małymi plecakami, zarzucały na ramiona kajak, żeby gdzieś, wystarczająco daleko od głosów dzieci, spuścić go na wodę i popłynąć, w milczeniu, dopóki nie zatrzymał ich pień leżący na płyciźnie albo kamień tam, gdzie prąd jest szybszy, wtedy podnosiły kajak, brały go na ramiona i szły kawałek wzdłuż brzegu.

Nawet na zakupy nie chciały jeździć samochodem, chociaż potrzebowały dwóch godzin, żeby na piechotę dotrzeć do sklepu w szalasie, a sprawunki musiały potem dźwigać całą drogę w plecakach. Caroli podobało się chodzenie w tenisówkach i w krótkich spodniach, bez biżuterii i makijażu, w czerwonej czapce z daszkiem z nazwą parku narodowego, chroniącej od słońca, które paliło tylko z rzadka, wędrowanie obok Becky bez słowa, ścieżkami i drogami, równym tempem, po sosnowych igłach miękkich pod stopami, wdychanie zapachu żywicy.

Za każdym razem odpoczywały przed sklepem, dopiero tam zaczynały mówić, niewiele, dużo się śmiały, jak ludzie, którzy nie muszą się niczego bać ani niczego ukrywać.

Becky przynosiła herbatę w kubkach i muffiny na małej tacce, a potem siedziały długo na drewnianej ławeczce pod reklamą lodów, drapiąc bąble po ugryzieniach komarów i odpowiadając każdemu, kto wychodził ze sklepu z brązowymi papierowymi torbami i w tej ciszy szukał kogoś, z kim mógłby zamienić trzy, cztery zdania o słońcu, jeziorach i niedźwiedziach, które przychodzą nocą, żeby przewracać śmieci.

Wszystko jest tak jak ostatnim razem, jak podczas wszystkich czterech ostatnich razów. Tylko dzieci się zmieniły. Są większe, mądrzejsze, jeszcze bardziej dzikie. Meble stoją na tych samych miejscach, obrazy są te same, małe reprodukcje impresjonistów z domu towarowego, w czerwonych i niebieskich ramkach. Nawet na regałach nic się nie zmieniło, trochę książek, kasety wideo, małe szklane figurki zbierane przez jakiś czas przez Becky.

Fryzura Becky jest taka sama, ciemne włosy opadają wycieniowanymi pasmami na ramiona, ubrania są takie same, nawet kolczyki, które nosiła już do ślubu, dwa kryształ w złotej oprawie, i które zdejmuję wieczorem i wkłada do miseczki w łazience wciąż żółtej, chociaż Becky, kiedy się wprowadzili, powiedziała, że nie chce żółtej łazienki, to pierwsze, co będą musieli zmienić.

Becky nie troszczy się o drobiazgi, jej mąż jeszcze mniej.

Dzieciom wolno malować po tapetach, odrywać je, a Becky się z tego śmieje. Wolno im obrzucać matkę wyzwiskami, a ona się śmieje. Wolno im kłaść pod drzwiami martwe ptaki znalezione na pobliskich łąkach albo polach, i Becky też się śmieje. Wieczorem nie muszą iść do łóżka, zasypiają po prostu w środku zabawy, na schodach, na wielkim dywanie przed telewizorem, obok kotów, przy oknie na taras, Becky zbiera je później jak coś, o czym zapomniała, co trzeba uporządkować. Podnosi, taszczy do pokojów, kładzie na łóżkach, rozbiera, głaszcze po włosach, przykrywa i gasi światło. Wszystko to otacza Carolę z naturalnością, która zwykle jest jej obca, zawsze tak jest, ledwie przekroczy próg tego domu, a kiedy odjeżdża kilka tygodni później, udaje jej się zachować to uczucie, nie stracić go od razu, zatrzymać je jak opaleniznę, którą po tamtym lecie nosiła na skórze i która rozplynęła się całkiem dopiero po wielu dniach.

Carola siada między dziewczynkami, które nakładają jej na talerz górę gofrów i polewają syropem klonowym, dopóki nie powie głośno stop! Becky opiera się o kuchenną szafkę z chochelką w dłoni. Musisz być zmęczona, mówi, jeśli chcesz się położyć, twój pokój już czeka, a dzieci potrząsają gwałtownie głowami, jakby było to coś, czego matce zabraniają: pozwolić Caroli spać.

Christopher wraca wieczorem, parkuje przed garażem, głośno zatrząskuje drzwiami i woła przez sień: Carol! i jeszcze raz: Carol! Ma na sobie puchową kurtkę, dzinsy, grube sznurowane kozaki, które zostawiają na kafelkach mokry ślad, i zanim ją obejmie, zdiera z głowy czapkę i przeciąga ręką przez włosy, przez te jasne włosy, które są tak krótkie, jakby je przystrzygł wojskowy fryzjer. Zagląda do kuchni, rzuca się na sofę, włącza telewizor, a Becky wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: przecież go znasz.

Carola budzi się w nocy. Pada śnieg. Grubymi, ciężkimi płatkami, jakie są tylko tu. Odrzuca kołdrę, zakłada na ramiona szlafrok Becky, potyka się o samochodziki i kolejkę, odsuwa na bok zasłonę i staje przy zaszronionym po bokach oknie, na którym pokazały się pierwsze lodowe kwiaty. Dom jest cichy. Dzieci, koty śpią. Upłynie trochę czasu, nim przestanie się tak wcześnie budzić i będzie mogła siedzieć z innymi wieczorem.

Przed laty ruszyły zimą przy takiej pogodzie na zachód.

Becky zapakowała narty i łyżwy i po wielu godzinach jazdy znalazły się na szerokiej asfaltowej drodze w bezgłośnym, białym lesie. Przez dłuższy czas nie spotkały nikogo jadącego z przeciwka. Śnieg padał gęściej. Becky zwolniła, wyłączyła radio i wtedy, słysząc tylko wycieraczki, przez mały, wolny od śniegu wycinek szyby zauważyły łośia. Stał bez ruchu pod choinkami, blisko drogi, ciemny kształt na tle bieli, jakby nie był zwierzęciem, tylko posągami z kamienia albo gliny. Nie poruszały się nawet jego oczy. Becky zatrzymała samochód, wyłączyła wycieraczki i światła.

Opuściły okna, nie ruszały się, dziewczynka, która wtedy już była na świecie i w grubych butach i szalu siedziała na tylnym siedzeniu, także była cicho.

Nocowały w motelach. W małych, ciemnych pokojach z plastikowymi łazienkami, z huczącym, grzechoczącym ogrzewaniem, którego nie można było skręcić i z powodu którego Carola budziła się z bólem głowy i zapuchniętymi oczami, podczas gdy Becky siedziała już na brzegu łóżka i piła z papierowego kubka kawę kupioną gdzieś przy drodze. Becky nic nie przeszkadzało, ani upał w pokoju, ani zimno na zewnątrz, w tym cukrowym krajobrazie, jak mówiła, ani śliskie chodniki, po których chodziła, nosząc na plecach dziewczynkę w miękkim nosidle. Przeszkadzały jej tylko szopy pracze, bo budziły ją, biegając po dachach, po zalodzonych i zaśnieżonych rynnach. Carola stale je fotografowała, a Becky przewracała oczami. Carola wsiadała do samochodu z ociąganiem, na wyraźne naleganie

Becky, bo kiedy odkryła szopy, biegała za nimi z aparatem wokół hotelu. Od tego czasu za każdym razem, kiedy tutaj jest, ma nadzieję, że zobaczy pierwszego szopa, który będzie jak znak.

Raz zatrzymały się w dużym, lepszym hotelu, z długimi korytarzami, z których prowadziły drzwi do pokoi, z wielką restauracją, żyrandolami pod wysokim sufitem, ciemnoczerwonymi sofami i zasłonami. Z pokoju, w którym było chłodno mimo wielkiego grzejnika, wyglądały na zamrożone jezioro otoczone górami pokrytymi śniegiem. Po południu, ledwie się ściemniło, brały to jezioro w posiadanie. Zakładały łyżwy, Becky wsadzała dziewczynkę do nosidla, a potem ślizgały się ręka w ręka po bładoniebieskim lodzie, omijając kamienie do curlingu, które pójda w ruch dopiero następnego ranka, pod niemal czarnym niebem poprzecinanym jedynie białymi szpicami gór.

Carola idzie do kuchni, nastawia czajnik, gotuje wodę na herbatę, siada na sofie, na której poprzedniego wieczora leżał Christopher w grubych wełnianych skarpetkach.

Ściągnął je później i zostawił na dywanie. Radio nadaje wiadomości o piątej, prawie niesłyszalnie, Carola nastawia je głośniejsze. Zapowiadają na wieczór burzę śnieżną, temperatura ma spaść już koło południa. Carola mocniej zawiązuje pasek od szlafroka, stawia kołnierz,

wygląda przez kuchenne okno i patrzy w niebo w poszukiwaniu dowodu, jakby nie wystarczały jej lodowe kwiaty, śnieg, który dalej pada grubymi płatkami, i wiatr zmiatający taras.

Gdy nadchodzi burza, dzieci nie mają jak dostać się do szkoły, mówi Becky, która właściwie ma na imię Rebecca, ale odkąd tu mieszka, jest nazywana tylko Becky, nawet przez Carolę, jakby imię Rebecca nie pasowało do tego kraju z krótkimi, gwałtownymi latami i wiecznymi zimami, z łośiami, lodem, kombinezonami i sznurowanymi śniegowcami, jakby ktoś, kto tu mieszka, mógł nosić jedynie imię, kończące się na i albo y. Wtedy nie jeździ autobus, mówi Becky, szkoły są zamykane, Christopher też nie pracuje, już od dzisiaj, samochód dostawczy zostawił w mieście, w jakimś gospodarstwie, w jakimś garażu, żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie zapłaciłoby teraz za szkody. Becky kurczowo trzyma duży kubek, mocno, obiema rękami, wpatruje się weń, jakby mogła coś odkryć, i teraz, kiedy tak go trzyma i mówi, coś każe Caroli myśleć, że

Becky nie lubi, kiedy Christopher zostaje w domu, w ogóle tego nie lubi.

Dzieci wybiegają do ogrodu bez śniadania. Załóżcie przynajmniej czapki!, woła Becky, ale ich krzyki ją zagłuszają. Gołymi rękami zmiatają śnieg z parapetów, rzucają śnieżkami wysokim łukiem w drzwi od tarasu, w kuchenne okno, na którym zostaje ślad. Christopher otwiera gwałtownie drzwi, wrzeszczy do ogrodu. Dzieci milkną, zamierają w połowie ruchu, opuszczają ramiona, ale dalej lepią śnieżki zmarzniętymi czerwonymi palcami, przekładają je z ręki do ręki. Chłopiec spuszcza wzrok. Christopher nalewa sobie kawy, wygląda przez okno i dopóki wygląda, dzieci się nie bawią. Stoją i lepią śnieżki, zimnymi, czerwonymi palcami. Christopher podnosi kubek jak nagrodę, która mu się należy. Pije głośno i szybko. Carola słyszy, jak przetyka.

Christopher wchodzi pod prysznic, rozrzuca po podłodze bieliznę, którą Becky później pozbiera, później, kiedy z powodu zapowiadanej burzy obdzwoni inne matki z pytaniem, czy szkolny autobus jeszcze zabierze dziś dzieci.

Carola stoi niezdecydowana, niepewna, nigdy do tej pory nie stała tak w tym domu, blisko Becky, jakby nie wiedziała, co z sobą począć, z pustym kubkiem po herbacie, który wciąż jeszcze trzyma w dłoniach. Jakby nie było dla niej miejsca w tym korowodzie ze śnieżek, ostrzeżeń przed burzą, krzyku dzieci, który ucichł i teraz rozległ się ponownie, i Christophera, który dzisiaj został w domu, bo nie pozwolili mu wyjechać samochodem dostawczym.

Christopher wychodzi później bez słowa, nie mówi dokąd, a Becky nie pyta. Słyszając zatraskujące się drzwi wejściowe, a krótko potem drzwi od samochodu, ma czasem nadzieję,

jak teraz przyznaje, tu, przy oknie z lodowymi kwiatami, ujmującymi ogród w srebrnobiałą ramkę, że nie wróci. Nie wróci, jakby nigdy go nie było. Becky mówi to tonem, którym równie dobrze mogłaby powiedzieć: nalej sobie jeszcze herbaty, albo: dobrze spałaś? Czasem oddaje się tej myśli, mówi Becky, cały dzień, i to wystarczy, by ją podtrzymać, ta myśl, że Christopher mógłby nie wrócić, wystarczy, by przetrwać.

Wieczorem śnieg sięga parapetów. Dzieci otwierają kuchenne okno, podnoszą koty, rzucają je w śnieg, zmuszają do biegania i krzyczą z uciechy. Carola siedzi przy kaloryferze, na nogach kolorowy pled. Na zewnątrz jest jasno.

Śnieg odpycha ciemność. Słyszą samochód Christophera, wyjechał przed czterema godzinami i nikt nie próbował go od tego odwieść, potem jego przekleństwa, dlaczego śnieg leży na podjeździe, dlaczego leży na schodach. Słyszą, jak kopie w śnieg, jak w niego wchodzi, potem gwałtownie otwiera drzwi, które Becky i Carola przez ostatnie kilka godzin odśnieżały, jak idzie przez dom, w czapce, grubej kurtce, w mokrych butach, bez słowa, otwiera za kuchnią drzwi do garażu, przynosi szuflę, zanurza ją rytmicznie w śniegu z głośnym westchnieniem, za każdym razem brzmiącym jak wyrzut. Potem siada przy nich w kuchni, zostawia pod lodówką mokre buty, które wkrótce otoczy mała kałuża, patrzy na Becky i Carolę, jakby chciał powiedzieć: rozmawiajcie, nie przeszkadzajcie sobie. Becky nie pyta, gdzie był dzisiaj, kiedy nie jeździł. Wstaje, Carola za nią, jakby musiały sobie poszukać miejsca w tym wielkim domu pełnym pokoi, jakby nie było kąta, w którym mogłyby się schować, jakby Christopher wszystkich wypierał, jakby zajął cały dom, przekroczywszy jego próg, zamknąwszy za sobą drzwi.

Nocą Becky siedzi na sofie w szlafroku w kratkę, bosy, w okularach, za którymi jej oczy robią się małe. Telewizor jest włączony, migocze niebieskim światłem. Wyłączyła głos, pogasiła światła. Carola, która nie może spać, idzie po omacku korytarzem w stronę migoczącej niebieskości. Becky nie odwraca głowy. Gapi się w ekran, na mapę na kanale pogodowym, z symbolami oznaczającymi lód i śnieg, i grad, i temperaturę w skali, na której Carola się nie zna, której nie potrafi przeliczyć, wciąż jeszcze. Becky bębni dwoma palcami w kubek z resztkami nalanej kilka godzin wcześniej herbaty. Nosiła mu kawę do łóżka latami, mówi, chociaż Carola nie pyta. Pewnego dnia przestał ją pić, tylko po to, żeby jej pokazać: kawy, którą ty robisz, nie piję. Gdyby teraz wszedł do łazienki, dzieci natychmiast by z niej uciekły. Kiedyś stały przy wannie, gdy leżał w wodzie, wrzucały do niej butelki z szamponem, aż pryskała piana. Mówi to do ekranu, do spikera, do mapy pogodowej, nie do Caroli, jakby musiała mówić, niezależnie od tego, czy Carola wstała, przyszła do niej, usiadła.

I że nie jest kobietą, powiedział jej, dopiero teraz, kilka tygodni temu, i że nie zrozumiała, co to znaczy być kobietą, to kim jest, jeśli nie kobietą?

Rankiem Becky zeskrobuje szron z szyb między szprosami w kuchni i z okien wychodzących na ogród, które są trochę wyżej. Skrobie drewnianym skrobakiem krótkimi, szybkimi ruchami, jakby musiała się przeciwstawić temu, co się dzieje na zewnątrz, choćby tymi nieznacznymi ruchami. Włosy opadają jej na twarz. Nie patrzy w bok, chociaż dzieci wołają, tylko na skrobak, na kilka centymetrów zaparowanej szyby oczyszczonej z lodu, przez którą jednak nie da się jeszcze wyjrzeć. Okna w dużym pokoju i w łazience pozostaną pokryte grubą warstwą, która zabiera światło, tę resztkę, jaka w ogóle dociera tu o tej porze roku.

Carola i Becky siedzą w twierdzy. W cichej twierdzy z bladych murów, z ograniczonym widokiem na czarne ptaki przysiadające w głębokim śniegu, by zaraz potem odlecieć.

Lód pochłania wszystkie dźwięki z zewnątrz. Te domowe zrobiły się za to głośniejsze, czajnik, w którym nieustannie bulgocze, bo Becky wciąż stawia pod oknami gorącą wodę w wiadrach, wyciąg nad kuchenką, włączany podczas gotowania i zagłuszający każde słowo, mikrofalówka, której jasne bing! na zakończenie pracy brzmi teraz ostrzej.

Christopher przeklina pogodę, to, że nie płacą, kiedy nie jeździ. Tonem, który brzmi, jakby to Becky była winna, że nie może wyruszyć w trasę, jakby to przez nią sypało od wielu dni i wiał ten wiatr, który zatrzaskuje drzwi, jeśli nie podeprze się ich wystarczająco szybko. Christopher sprawia wrażenie, jakby nie potrafił wykorzystać wolnego czasu, jakby nie umiał wypełnić godzin, jak gdyby były uciążliwe, każda minuta spędzona z konieczności tutaj, za ślepych oknami, między Becky i Carolą trzymającymi kurczowo kubki z herbatą, jakby to było za dużo.

Nie przychodzi mu do głowy, że może pójść do pokoju dzieci, usiąść z nimi, zrobić to, czego zwykle nie może robić w dzień powszedni. Nie wpadnie także na pomysł, żeby nalać nowej wody do czajnika, żeby napęłnić wiadro stojące pod oskrobanym oknem. Pyta, dlaczego dzieci nie śpią w południe, pyta, chociaż chodzą do szkoły i już od dawna nie śpią w południe, pyta tonem, który każe Becky czuć się winną temu, że już nie śpią.

Carola mówi, że musi wyjść na powietrze, nieważne, jak jest zimno, Becky milczy. Zabrania sobie traktowania

Caroli, jakby była dzieckiem, jakby była jej dzieckiem.

Opiera się o ścianę, przygląda się, jak Carola bierze jej kurtkę, bo własny płaszcz nie jest wystarczająco ciepły, nie na te temperatury, nie na ten śnieg, jak zakłada sznurowane, o

wiele na nią za duże śniegowce Becky. Rusza zasypanym podjazdem, mijają garaż, wychodzi na ulicę, którą rozpoznaje po dachach samochodów jeszcze nie schowanych pod śniegiem. Becky woła za nią: Idź tak, żebyś zawsze miała w pobliżu światło, jak nie będziesz wiedziała, dokąd dalej, to wróć do tego światła!, posyła za nią prawie niesłyszalne, pytające: dobrze?, i Carola kiwa głową, starannym, wyraźnym ruchem, żeby Becky mogła go zobaczyć od drzwi domu, w których widać czarny zarys jej sylwetki.

Podjazdy, chodniki nie są odśnieżone. Ludzie przerwali wyścig z padającym śniegiem, siedzą w domach i czekają, aż miną godziny, dni, aż burza się uspokoi, aż połknie wszystko i pójdzie dalej. Carola wspina się na śnieżne góry, zapada, przytrzymuje się lampy, słupa, pała. Nagle jej się spieszy, chce się oddalić od tej drogi, od tego domu, na który się nie ogląda, ani na zasypany podjazd, ani na okna, pojedyncze światła przebijające matową żółcią przez lód.

Mimo mrozu szybko robi jej się ciepło. Rozpina kurtkę, mruży oczy, podnosi rękę, osłaniając twarz od wiatru, który uderza śniegiem. Marsz ją męczy, zsuwanie się, podnoszenie i opuszczanie ramion, ciężki oddech, ale nic nie odbiera pewności, że nie mogła zostać w domu Becky, nie mogła sobie znaleźć miejsca między trzaskaniem drzwiami a wzrokiem dzieci rozcierających śnieg między palcami. Wspinając się i ślizgając, pokonuje sześć, siedem długich ulic, podobnych do siebie jak dwie krople wody.

Zatrzymuje się na skraju rozległych łąk, za nimi las, który teraz, mimo padającego śniegu, dobrze widać. Wygląda jak opuszczone miasto. Srebrnobiałe, z dachami i wieżami.

Śnieg nie topnieje przez kolejne dni. Zalega jak wał, jak mur wysoki na metr, pod ścianami domów, na skraju dróg, obojętny, wciąż tam, gdzie go zepchnęli sąsiedzi, Christopher z papierosem w kąciu ust, dzieci w kolorowych kombinezonach, z rękawiczkami zwisającymi na sznurkach z rękawów. I Becky. W drzwiach, pod zwisającymi z lampy soplami przezroczystymi jak szkło, jak kryształy, które wieczorem wkłada do miseczki w łazience.

Becky przestała stawiać pod oknami gorącą wodę i skrobać je, po to tylko, by znowu patrzeć na śnieg. A Carola przestała cieszyć się z tego, że pada. Jednej z tych nocy, kiedy w szlafroku Becky siedziała na łóżku i nie mogła wyrzeć przez okno, bo śnieg zostawił szparę szeroką na dwie dłonie, przestała się z niego cieszyć, tak jak cieszyła się wcześniej, w inne zimy, kiedy pokrywał góry i bładniebieskie jezioro albo spadał na rynny, po których biegały szopy, a Becky mówiła o cukrowych krajobrazach. Teraz tylko leży, coś, co powoli powleka się szarością i czego nie sposób się pozbyć.

Każdego ranka Carola głośno liczyła, jak długo jeszcze. Po kryjomu liczyła dni do swojego odjazdu. Robiła to po raz pierwszy i fakt, że wyjmując z szuflady bilet, patrzy na datę



wydrukowaną małymi czarnymi cyframi, na godzinę, a później na ścienny kalendarz obok komody, żeby je porównać, nie spóźnić się na samolot, wydał jej się zdradą Becky. Myśl o wypożyczonym samochodzie, którym mogłaby pojechać na lotnisko, porzuciła już poprzedniego wieczora, chociaż główne drogi odśnieżono, te główne ulice, którymi Christopher od kilku dni znowu jeździ swoim samochodem dostawczym, którymi jeździ szkolny autobus zbierający dzieci rano na skrzyżowaniu i wysadzający je w południe, podczas gdy Becky zostaje w domu i drewnianym skrobakiem znowu skrobie z okien lód i śnieg.

Christopher pożegnał się wczesnym rankiem. Zakładając buty, kurtkę i czapkę, rzucił jej: take care, o którym

Carola nie wie, czy brzmi od niechcenia, czy niedbale. Stojąc w drzwiach, których wiatr dzisiaj nie zatrząskiwał, patrzyła, jak zbiega drogą, nie po chodniku, tylko środkiem, dokładnie środkiem między samochodami, które odmieciono kilka dni wcześniej wielkimi miotłami, i złapała się na myśli, że następnym razem mogłaby go tu nie zobaczyć, już latem, kiedy siądą z Becky na tarasie bez schodów, a dzieci wskoczą do nadmuchiwanego basenu.

Dzieci siedzą w samochodzie z tyłu, zapięły pasy, wyglądają przez okna, stukają w szyby szybko, niecierpliwie, jakby chciały powiedzieć: pospieszcie się, przestańcie się guzdrać. Becky niesie walizkę Caroli. Zanim zejda po schodach na podjazd, położy jej rękę na ramieniu i spyta cicho: przyjedziesz znowu?, jakby musiała to jeszcze wyjaśnić, jakby jeszcze musiała się upewnić, zanim wsiądą do samochodu, ruszą, rozcinając śnieżne pola, w stronę miasta, w stronę lotniska, i Carola odpowie równie cicho: tak, oczywiście.

Idąc z Becky i dziećmi do bramki, nie słyszy, co mówią, nie słyszy, jak dzieci uderzają płasko dłońmi w błyszczące kosze na śmieci, żeby zostawić odcisk, a Becky podnosi głos, próbując je od tego odwieść. W głowie ma tylko jedną myśl. Jedną małą myśl, która jej nie przeszkadza, tylko ją uspokaja, i która jej nie opuszcza, przy każdym kroku, jakby mogła ją unieść, okryć, gdy zmierza do bramki, myśl, że nie zobaczyła ani jednego szopa pracza, nawet ich nie szukała, po raz pierwszy ich nie szukała.

Becky zamawia w kawiarni colę, mają jeszcze trochę czasu. W radiu, które słyhać tutaj z głośników, mówią, że śnieg stopnieje w ciągu następnych dni, przy nadzwyczaj wysokich temperaturach, i Carola myśli o tym, że z lamp znikną sopte, z okien lodowe kwiaty, a śnieg na skraju dróg zmieni się w wodę. Wyobraża sobie, jaki będzie hałas, kiedy śnieg zacznie się odrywać, spadać z dachów, ze wszystkich dachów przy tej drodze, wielkimi, twardymi kawałami, i jak przestawią samochody, a chodząc, będą patrzeć w górę, ze strachu, że może ich trafić odłamek lodu.

I myśli o tym, że topniejący śnieg zmyje i zabierze ze sobą troje dzieci i kobietę, wymalowane kolorowymi pisakami na ścianie domu.

## MODLITWY

Jest sobotni wieczór. Przyjechałam pociągiem, usiłowałam dodzwonić się do T. z telefonu na kartę za wagonem restauracyjnym, nie podnosił słuchawki. Obok mnie siedziało troje dzieci z magnetofonem, puszczały nagranie z przedstawienia teatryku kukielkowego, tuż przy moim uchu.

Gdzieś za Koblencją naciśnęły start, Kasperek krzyczał i śpiewał, dzieci razem z nim, tri-tra-trullala! Babcia zdjęła binokle!, zawołał Kasperek, dzieci powtórzyły. Ktoś wdarł się do jej mieszkania!, ostrzegł Kasperek, a dzieci spojrzały po sobie ogromnymi oczami.

Przystanąłam przed dworcem, postawiłam kołnierz od płaszcza, czekam na tramwaj. Z hali dworcowej dolatuje zapach grzanego wina. Pod drewnianym zadaszeniem po drugiej stronie ulicy rozstawiono kolejkę do zabawy, jeździ w kółko, wozi na spacer kieliszki z wiśniówką. Pojedyncze ławki są mokre od deszczu. Na ziemi przydeptane niedopałki papierosów, plwociny, wyrzucone rachunki, które idąc, wygrzebuje się z kieszeni, ostatni rzut oka i spadają.

Przede mną, obok mnie ktoś pod parasolem, w płaszczu, na który skapuje deszcz.

Nadjeżdża tramwaj. Widzę go i udaję, że nie widzę, choć nie mogłam go przeoczyć, chociaż nasze spojrzenia już się spotkały. Ale tylko na chwilę, tak krótką, że można jeszcze udać, że jej nie było. Wysiada, odwracam się, nie za szybko, mój ruch nie powinien wyglądać na zaplanowany, raczej, jakbym musiała odwrócić się za czymś innym, jakbym czegoś zapomniała, jakby coś mnie odepchnęło. Odchodzę kilka kroków, a on woła moje imię, raz, dwa razy, odwracam głowę, udaję zdziwienie.

Patrzy na mnie i powtarza moje imię, jeszcze kilka razy, a ja zaczynam przypominać sobie ten głos, chociaż nie chciałam już go sobie przypominać, ani włosów, teraz ostrzyżonych na krótko. Zatrzymujemy się na światłach dla pieszych, nie patrzę na niego, myślę o T. i widzę kolejkę, a w niej kieliszki z wiśniówką. Wsuwa do ust papierosa, podaje mi paczkę, kręcę głową. Rzuciłam palenie. Wiele lat temu. Mówi, że za każdym razem, kiedy idzie przez dworzec, myśli o mnie. A ja pytam: Często wsiadasz tu do pociągu?

Teraz wydaje mi się dziwne, że przez jakiś czas zwracałam uwagę na to, by chodząc po ulicach, wyglądać jak osoba szczęśliwa, cokolwiek to miało znaczyć. Uczesana, dobrze ubrana, na ustach zdanie gotowe do natychmiastowego wypowiedzenia. Chciałam być opanowana na wypadek, gdybym go nagle gdzieś spotkała, na pasach dla pieszych, na czerwonym świetle albo w metrze, z którego nie można wysiąść, bo właśnie zamykają się

drzwi. W pewnym momencie przestałam, ale zorientowałam się dopiero później, upłynęły lata, dwanaście razy trzydzieści dni trzy albo cztery, albo pięć. A teraz stoję na przystanku, moje życie jakoś się przez te lata ułożyło, splotło się z życiem T. i przestałam zważać, by wyglądać na szczęśliwą, uczesaną, z gotowym zdaniem na ustach.

Napijemy się kawy? Pyta, ale brzmi to, jakby pytał o znacznie więcej, nie tylko o to, czy napijemy się kawy, a ja mówię natychmiast: nie, spieszę się do domu, i widzę, że wie, że mam czas, wie, że kłamię. Myślę o tamtej zimie przed laty, kiedy szliśmy przez las, w górę, do klasztoru, a ja już wiedziałam, będziemy tylko udawać, że jeszcze się zobaczymy. Stoimy teraz, ja mówię szybko i dużo, zna to, zagadywanie, tak to nazwał, wtedy, gdy czekaliśmy przy pociągu, którym jedno z nas odjechało. Pyta o coś, ale nie słyszę, myślę o T., jak wygląda, gdy śpi, o tym, jak wygląda, kiedy się budzi, kieruję wzrok na stojące obok samochody, na światła, które zmieniają się z żółtego na zielone.

Mówię: Kręcić filmy, co to znaczy? Wiesz, robiłam to przez wiele lat, kręciłam filmy, już mnie to nie interesuje, w ogóle nie, bestia, którą trzeba oswajać za każdym razem, kiedy się reżyseruje. Mówię to, ponieważ wiem, że właśnie to robi, że tak teraz zarabia, kilka zleceń przejął wtedy ode mnie. Wiesz, nie chcę już być zmuszana do troszczenia się o innych, mówię. A on patrzy na mnie, jakbym powiedziała: byłeś idiotą, że mnie rzuciłeś.

Ja mówię, on pali, a obok nas przejeżdżają tramwaje, jeden za drugim. I znowu przypominam sobie, jak tamtej zimy biegłam kulisami studia filmowego, mijając ściany domów, za którymi nie było nic, tylko kwiaty w oknach na użytek scen ulicznych, i że przyszła mi do głowy myśl, żeby te kulisy podpalić, kazać je zburzyć, i że później też nie było niczego, co mogłoby mnie uspokoić albo skłonić do opuszczenia łóżka, w którym leżałam tygodniami, a śnieg przykrywał miasto.

Wtedy modliłam się: niech padnie ofiarą nieszczęśliwego wypadku, gdzieś na drodze między Hamburgiem a Monachium. Chciałam, żeby został staranowany, zmieciony z mokrej od deszczu jezdni, kamery z samochodu wyleciałyby obok jego głowy przez szybę, on też, on też wyleciałyby przez szybę. Wyobrażałam sobie, jak przywożą go do szpitala, prawie nie słyszy, co ludzie do siebie wołają, jeden drobny błąd lekarzy wystarczyłby, żeby stracił stopę, nogę. Modliłam się nawet przed Dziewicą Marią w sukience z błękitu i czerwieni, zapalałam świeczki za pięćdziesiąt fenigów sztuka w małym kościele w środku miasta, pilnowałam, żeby nie zgasły. To wtedy ludzie obserwowali mnie z biurowych okien, znowu tu jest, ta, co każdego południa rozprawia sama z sobą, jedyna, która przy tej pogodzie chodzi po studiu.

Czy marznę? Czy jest mi zimno, pyta, a ja myślę: co to znaczy? Sądzi, że mógłby mi założyć na ramiona swój płaszcz? Jadę do domu dziewiętnastką, mówi, a ja wiem, że dziewiętnastka nie jeździ tam, gdzie kiedyś mieszkał.

Nie pytam: dokąd jedziesz? gdzie teraz mieszkasz? Nie mówię nic. Gdy zatrzymuje się kolejny tramwaj zmierzający w moim kierunku, żegnam się. Szybko, w ostatnim momencie, zanim zamkną się drzwi. On kiwa głową, nic nie mówi, żadnego pożegnania, nic, wygląda, jakby chciał powiedzieć: zostań.

Wiem, że mnie widzi, kiedy tu siedzę, na niebieskim obiciu, pod neonowym światłem. Tramwaj stoi. Motorniczy rozmawia z kimś przy przednich drzwiach. To trwa. Nie podnoszę wzroku, odwracam się, wyciągam z torby blok, zaczynam pisać. Wiem, że myśli: teraz udaje, że musi coś zanotować. Zaczynam nanosić na papier imię T., wciąż od nowa. Piszę duże T., a potem inne litery. Tramwaj nie odjeżdża. Myślę: pisać, przyciskać ołówek do papieru i pisać.

Dlaczego nie poszłam pieszo? Mogłam była odejść, wiedziałabym, że za mną patrzy, znikłabym za następnym rogiem, a potem przyspieszyła kroku. Wołałabym T. wciąż i wciąż, aż do naszych drzwi i byłoby mi obojętne, co inni o mnie myślą. Może zatrzymałabym się już dwie ulice dalej, odwróciłabym się, spojrzałabym za siebie, a potem poszukałabym gdzieś lustra na wystawie, żeby upewnić się, że jeszcze jestem. Wiem, że stoi przy tramwaju, tylko dwa, trzy metry ode mnie, podnoszę wzrok, ale to tylko ja w okiennej szybie.

## OSIEMNASTY, MOŻE DZIEWIĘTNASTY GRUDNIA

Tego dnia pada deszcz. Opuszczamy miasto, ostatnie znaki i domy, wjeżdżamy na autostradę, kierunek zachód. To nie jest daleka droga, podróż trwa godzinę, czasem dłużej, zależnie od pory dnia, natężenia ruchu. Po prawej i lewej stronie pola w brązach, wyżej niebo w szarościach, między nimi słupy wysokiego napięcia, kościelne wieże, najpierw dwie, trzy, potem więcej, im dalej jedziemy. Na zakręcie za znakiem ostrzegawczym stacja benzynowa pod niebieskim neonem, wcześniej był żółty. Ktoś stoi obok dystrybutora, zaciera ręce, wypuszcza w powietrze kłęby pary. Od lat jeździmy tą trasą tego dnia, zapomniałam, od ilu, może od sześciu, może od siedmiu. Alex prowadzi, kręci gałką radia, przeskakuje ze stacji na stację. Nie pytam, ile już razy przemierzałyśmy tę drogę, jestem pewna, że ona też nie wie.

Jest tuż przed Bożym Narodzeniem, osiemnasty, może dziewiętnasty grudnia, w mieście zaczynają składać stoiska z grzonym winem i zabawkami, a my mówimy, że to najkrótsze dni w roku, pocieszamy się, że wkrótce zrobi się jaśniej, każdego dnia będzie trochę jaśniej. Mijamy hotele przy autostradzie i przystrojone adwentowo sklepy z dywanami, centrum meblowe, nad wejściem renifery z żarówek przy saniach pełnych paczek. Przed rokiem były to choinki, choinki z czerwonymi łańcuchami, rok wcześniej anioły ze skrzydłami, z jasnoniebieskimi skrzydłami. Powiedziałam, że tego dnia pada deszcz? Teraz po raz pierwszy leży śnieg. Zwykle pada, przy dwunastu, trzynastu stopniach, i wieje wiatr. Pogoda jest inna tego roku. Ale bądź co bądź pogoda.

Skręcamy na trzecim zjeździe za skrzyżowaniem, mijamy cementownię, taśmy transportowe i kominy. Pada śnieg i, patrząc na te malejące kominy, Alex mówi: Wieś jest piękna, prawda? Skręcamy, zatrzymujemy się przy kiosku za najbliższym znakiem z nazwą miejscowości, gdzie od lat w oknie stoi ten sam mężczyzna, między gumami owocowymi i gazetami z programem telewizyjnym. Kupujemy papierosy, sześć paczek normalnych, sześć paczek mentolowych. Christiane nie musiała nic mówić przez telefon, nie musiała przypominać: przywieźcie proszę papierosy, sześć normalnych, sześć zielonych. Przystajemy rozmawiać, ledwie zobaczymy bramy, znaki, ledwie samochód wjedzie na żwir, wysiadamy i zatraskujemy drzwi, ten odgłos brzmi tu inaczej.

Ktoś otwiera nam drzwi wejściowe, wchodzimy po dwóch szerokich stopniach, trzymając się poręczy, stajemy przed grubą szybą, przez którą zaglądamy do korytarza: smugi neonowego światła, na ścianach obrazki wycięte z kalendarzy, pastele przedstawiające

nadrzeczne krajobrazy. Otwierają nam, mówimy: dzień dobry, tak jak mówi się dzień dobry tylko w takich miejscach, na końcu korytarza

Christiane podnosi rękę, żeby pomachać, a potem zbliża się do nas powoli, bardzo powoli, małymi, ciężkimi kroczkami, prawie nie podnosi stóp. Ma na sobie białe spodnie od dresu, białe skarpetki, pantofle na zamek i niebieską koszulę, później powie, że też w niej śpi.

Nie wygląda źle. Nie tak źle, jak sądziłam, jak sądzę za każdym razem. Zaczynam ją sobie wyobrażać najdalej przy centrum meblowym, najpóźniej wtedy, dobry kawałek przed cementownią - może dlatego, że za pierwszym razem, przed sześcioma, może siedmioma laty, wyglądała niedobrze, zabandażowane ręce, na twarzy plastry. Ale teraz wygląda lepiej, wygląda dobrze, z każdym rokiem lepiej, myślę, a może tylko przyzwyczaiałam się do tego widoku: Christiane w spodniach od dresu, bledsza niż zwykle, z tym swoim dziecięcym uśmiechem i nieumytymi włosami, które w ostatnich tygodniach przestała farbować.

Brąz powoli wypiera czerwień.

Prowadzi nas do sali na końcu korytarza, w pomieszczeniu obok włączony telewizor. Przechodząc, widzę na ekranie czworo, pięcioro ludzi siedzących w półkolu, rozmawiają. Przed telewizorem krzesła, na których siedzi czworo, pięcioro ludzi, też w półkolu. Christiane zamyka za nami drzwi i mówi: Żebyśmy byli same. Zdziera folię, stuka palcami w pudełko, papierosy wysuwają się, zapala. Trzymają mnie, oznajmia, przez pomyłkę. Za każdym razem to powtarza, pokazuje przyniesione z pokoju dokumenty, które trzymała, kiedy Alex i ja stałyśmy pod drzwiami, zaglądając do środka przez szybę. Na kartkach zawsze ten sam nadruk, nazwa tego samego szpitala, ostry dyżur. Zmieniają się tylko okoliczności. Za pierwszym razem stała w kuchennym oknie, chciała wyjść na dach i skoczyć pięć pięter w dół. Za drugim to były szpilki, cała garść szpilek, chciała je połknąć, za trzecim - nie pamiętam co. Nie patrzy na nas, kręci głową, mówi: pomyłka, wstaje, otwiera drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje, zamyka je i pyta: załatwicie to, prawda?, a my odpowiadamy, tak, oczywiście, podaje nam dokumenty. Czuję się podle, za każdym razem czuję się podle i myślę, że widać po mnie, iż nic nie załatwię, że ona widzi to już teraz, teraz, kiedy potakuję, widzi, że robię to dla świętego spokoju. W drodze powrotnej Alex opowie mi, jak podle ona się czuje. Tak jest za każdym razem, a ja myślę, że jednak jest coś, co nas łączy, Alex i mnie. Może to jest nowy początek, to mógłby być nowy początek, wierzę w to za każdym razem, ale potem nigdy nic się nie zaczyna - nigdy.

Wyciągam z torby prezent: proszę, mówię, coś ci przywiozłyśmy, Christiane rozpakowuje go powoli, starannie, jakby nie wolno było rozerwać papieru, śmieje się: cudna, dzięki, obejmuje nas, najpierw mnie, potem Alex. Odkłada książkę, wsuwa do ust dziesiątego

papierosa, Alex wzdycha, co za powietrze, wstaje, podchodzi do okna, chce je otworzyć. Zapomniała, że w kłamce jest mały zamek, nie może albo nie chce zapamiętać, że okna są tu zamknięte na klucz. Wygląda na zewnątrz, patrzy na wciąż jeszcze padający powoli przez tę prawie niebieskość śnieg, a ponieważ nie wiem, o czym mogłybyśmy rozmawiać, mówię: wyobraź sobie, Christiane, że u nas sypało w nocy i śnieg nie stopniał, nawet w mieście, a ona nagle wybucha głośnym śmiechem, bezczelnie głośno, milknie, spogląda na mnie przestraszona, jakby to ktoś inny śmiał się tak niedorzecznie głośno, nie ona.

Alex pyta, czy Christiane pokaże nam swój pokój. Idziemy korytarzem, mijając kartki z kalendarza w pastelach, powoli, nie chcemy jej wyprzedzać. Christiane otwiera ciemnozielone drzwi z białą klamką, podchodzi przez ciemny pokój do okna, rolety są opuszczone, na podłodze nie ma nic, o co mogłaby się potknąć, zatrzymuje się, mówi: to mój pokój, i patrzy w ziemię. Nie zaświecimy światła? pytam. Nic nie widać. A Christiane odpowiada:

Jasne, jak chcecie, można spokojnie zaświecić, tam jest kontakt. Stoimy z Alex w drzwiach, patrzymy na dwie leżanki na kółkach, na grube zasłony, na okno wysokie na trzy metry, za nim drzewa, dwudziestometrowe co najmniej, na białe ściany i na Christiane, która wciąż jeszcze tam stoi, trzymając książkę, książkę z kotem i paczką zawiązaną sznurkiem na okładce.

Nie protestuje, kiedy odjeżdżamy, żadnego: zostańcie.

Odprowadza nas do szklanych drzwi, pyta: Woda na blasze, pamiętacie, jak to brzmi? Mówi to mimochodem, tak jak mówi się rzeczy mimochodem, bez znaczenia, jakby brakowało jej tylko słowa do krzyżówki w jednej z tych gazet, które leżą na stołach. Tym zdaniem nas odsyła, tym: woda na blasze, nie musi go powtarzać, wystarczy, że powie raz, bo i tak to zdanie pozostawia takie wrażenie, jakie tylko ono może zostawić. Za każdym razem daje nam na drogę tę wodę na blasze, kiedy odjeżdżamy, zanim otworzą się szklane drzwi, a my, stojąc przy wyjściu, jeszcze raz patrzymy za nią, już się odwróciła, odchodzi korytarzem tymi małymi, ciężkimi kroczkami, nie patrzy na nas ostatni raz, nie macha, dopóki nie zejdziemy po schodach, nie wrócimy na parking, po żwirze, do samochodu.

Nie jedziemy autostradą. Przez te wszystkie lata ani razu nie wracałyśmy autostradą. Jedziemy zwykłą drogą, może dla wielu światła i pozornej powolności, jaką powodują.

Przez winnice, szosą z widokiem na Ren, który wylewa o tej porze roku i podtapia drzewa aż do bioder, jak mówi Alex.

Włącza radio, wiadomości dla kierowców zapowiadają korki, Ren niesie grube kawały lodu, które się zbierają wokół podtopionych drzew. Wiemy obydwie: to, że Christiane tu jest,



ma także związek z wodą na blasze, z deszczem na dachu, na który chciała się wspiąć przed laty, żeby skoczyć.

Wiem, że Alex też o tym myśli - tyle mogę zgadnąć, patrząc na nią z boku.

To się zawsze zapowiada. Nigdy nie przychodzi w ciągu nocy, nieoczekiwanie, zaskakująco. Pojawia się między początkiem a połową listopada, czasem dopiero w pierwszych dniach grudnia. Christiane dzwoni co dwa dni, zawsze pijana, bo przyjmując leki, upija się już trzema kieliszkami wina. Stawia pytania, za każdym razem te same, nie urozmaica ich, nie zmienia kolejności, nie znajduje dla nich innych słów, jak się masz, jak on się ma, jak ona się ma, a potem nieśmiało: kiedy przyjedziesz? Przez dwa tygodnie jej głos jest zmęczony. Nigdy nie zapamiętuje, co odpowiadam. Jest jej obojętne. Mogłabym zmyślać, nagrać taśmę, wypowiedzieć dziesięć razy pod rząd to samo zdanie - mogłabym. Kiedy tłumaczę: Christiane, mówiłam ci to już przedwczoraj, odpowiada: ach tak, ach tak, tak, dobrze, to nie powtarzaj.

Potem przestaje łykać tabletki, chociaż protestuję, nie wolno ci, nie wolno ci ich tak po prostu odstawić, a potem z każdym kolejnym telefonem mówi głośniejsze. Śmieje się ze wszystkiego, jakby wszystko było zabawne, wszystko nagle do śmiechu, dzwoni i dzwoni, i dzwoni w kółko, wkrótce w odstępach dwóch godzin, czasem tylko po to, by powtórzyć pytanie, bo sądzi, że jej nie zrozumiałam.

Dzwoni w sobotę wieczorem, kiedy wychodzimy, i w niedzielę rano, gdy leżymy w łózkach. W tym roku puściła mi płytę, w niedzielę rano, o dziesiątej. Powiedziała, że właśnie o mnie pomyślała, przez tę muzykę, czy to pamiętam, ten kawałek? A ja odparłam: jasne, a potem śpiewałyśmy razem. Zapytała: pamiętasz jeszcze tekst, a ja odparłam: jasne, że pamiętam, czegoś takiego przecież nie zapomnę, a ty? Nie, ja też nie, odpowiedziała, jak ktoś to puszcza, to śpiewam, ciągle jeszcze.

To się dzieje, kiedy jesień przechodzi w zimę, a więc nie według kalendarza, tylko wycucia. Dzwonię do Alex i mówię: sądzę, że już czas, a niedługo potem Christiane zaczyna przysyłać mi różne rzeczy. Tym razem była to paczka z wycinkami z gazet i kartka: Myślę o tobie, przychodzisz mi na myśl, kiedy to oglądam. Rozłożyłam strony z gazety telewizyjnej, program od trzynastego do dziewiętnastego października, zastanawiając się, dlaczego przychodzę jej na myśl, kiedy je oglądam.

Jeszcze przed kilkoma tygodniami Alex i Christiane siedziały na lotnisku w Bombaju. To Alex wpadła na pomysł podróży do Indii, to dobre dla Christiane, krótko przed nadejściem zimy, zanim na dobre tu zagości, zobaczyć morze, słońce, piasek. Alex opowiada mi przy kawie o tej podróży, spotykamy się dzień wcześniej, zawsze dzień wcześniej, dwadzieścia

cztery godziny przed tym, zanim ruszymy autostradą na zachód. Same nie wiemy, dlaczego się spotykamy, przecież od lat, od z pewnością sześciu, siedmiu lat nie mamy sobie wiele, równie dobrze można by rzec: nie mamy sobie nic do powiedzenia. Przez tę sprawę, która nie ma nic wspólnego z Christiane - a może tylko trochę. Jakoś wszystko się ze wszystkim łączy, powiedziałyby Christiane w tych kilku miesiącach, kiedy jej głowa jest jasna, kiedy jest przy zdrowych zmysłach, naprawiona.

Więc także nasze milczenie, nasze roczne milczenie ma coś wspólnego z Christiane i zimą.

Siedziały na lotnisku w Bombaju, Christiane i Alex, ich lot został anulowany. Zarezerwowały inny, a potem musiały czekać i czekać, i znowu czekać. Alex zostawiła Christiane przy barze w kawiarni, z dwiema walizkami i trzema torbami, podczas gdy ona biegła po lotnisku, bo co pół godziny coś się zmieniało. Kiedy wróciła, Christiane była pijana. Alex zaczęła na nią krzyczeć, a Christiane zamknęła oczy i oparła głowę na barze. Alex musiała pójść gdzieś jeszcze raz, chwyciła ją za ramiona i krzyknęła: ty tu siedzisz, słyszysz? A Christiane skinęła głową i znowu ją opuściła na bar. Alex powtórzyła: nie opuszczaj tak głowy, a potem znowu biegła od okienka do okienka, korytarzami lotniska w Bombaju, ciągle w strachu, że Christiane mogłaby wstać, wyjść i wsiąść do taksówki albo wejść na ruchomą taśmę i wsiąść do złego samolotu. Biegła po tym lotnisku w tę i z powrotem, cały czas oglądała się na

Christiane, patrzyła, czy jeszcze tam siedzi, obok dwóch walizek i trzech toreb. I teraz, kiedy mi to opowiada przy kawie, dzień wcześniej, nagle wybuchamy śmiechem, Alex i ja, śmiejemy się głośno, okropnie, nie możemy przestać, aż Alex kręci głową i mówi: Już nigdy.

Alex i ja potrzebujemy stałych terminów, w które wpisane są fazy rozpedu, tylko po to, by się przygotować na to, że się zobaczymy, gdy następnego dnia pojedziemy do

Christiane. Ja wymyślam pytania, które mogłabym jej postawić, ona nie stawia mi żadnych, moje pytania też zresztą nie wychodzą nigdy poza: jak w pracy? i: jak się ma twoja matka? Może miałyśmy za wiele pytań, za wiele było rzeczy, o których kiedyś sądziłyśmy, że musimy je sobie opowiedzieć, kiedyś, gdy rozmawiałyśmy przez telefon trzy, cztery razy dziennie i wszystko, po prostu wszystko nadawało się do opowiedzenia. Poza tym widujemy się przypadkiem, w mieście, na ulicy, kiedy przecinam jej drogę, przed kawiarnią albo sklepem. Zawsze mówimy: zadzwonię, ale nigdy do tego nie dochodzi. Pozostajemy przy odwiedzinach u Christiane i dwóch telefonach w ciągu roku, w dniu naszych urodzin, kiedy czujemy ulgę, bo włącza się automatyczna sekretarka i żadna z nas nie musi udawać, że mogłybyśmy po prostu do siebie zadzwonić, że mamy sobie jeszcze coś do opowiedzenia.

Alex przyjechała po mnie samochodem koło południa.

Zatrąbiła, została w aucie, nie weszła na górę, może dlatego, że od lat nie powiedziałam: wejdź, usiądź, napij się herbaty, zaraz będę gotowa. Nigdy tego nie powiedziałam, chociaż zawsze postanawiałam, że to zrobię, w tym roku szczególnie. Myślałam, dzisiaj zapytam Alex, czy nie wysiądzie z samochodu, otworzę okno i zawołam: wejdź na górę, potrzebuję jeszcze chwilki, ale kiedy zobaczyłam ją na ulicy dziś w południe, w samochodzie, nie przyszło mi to do głowy. Zapomniałam, że chciałam zaprosić ją do mieszkania, do kuchni, jakbym nie chciała jej więcej widzieć przy moim stole, na tle mojej tapety, jak pije moją herbatę z mojego kubka, chociaż wcześniej siedziała tu stale, żeby pić z moich kubków moją herbatę. Kiedy usłyszałam trąbienie, podeszłam tylko do okna, podniosłam rękę na znak, że ją widzę, że biorę płaszcz, szalik, czapkę, rękawiczki i prezent, który kupiłam dla Christiane, jak ustaliłyśmy dzień wcześniej. Coś niewinnego, powiedziała

Alex, coś całkiem niewinnego, i później, kiedy chodziłam po domu towarowym, zastanawiałam się, co to w ogóle miałyby być, coś niewinnego. Wyszukałam książkę dla dzieci, z kotem i zawiązaną sznurkiem paczką na okładce.

Christiane lubi książki dla dzieci.

Przez wiele dni po naszych odwiedzinach Christiane dzwoni. Mówi: zapomnij, o co was prosiłam, zapomnij, zostanę tu, w porządku, a ja odpowiadam: dobrze, jak chcesz. Każdego roku mówię, dobrze, jak chcesz, jakbyśmy z Alex przedsięwzięli coś, żeby wyciągnąć ją z tej kliniki. Potem Christiane odzywa się dopiero po Nowym

Roku, już z domu. Wiem, że siedzi przy swoim czarnym telefonie z przyciskami, przed kuchennymi szafkami, na ścianach zdjęcia w ramach. Wiem, jak tam wygląda, teraz, dwa miesiące później. Żadnego pyłku kurzu, przez żaluzje wpada po południu trochę słońca. Christiane opowiada o kimś, z kim spędzała wieczory, bo nie chciała siedzieć sama przed telewizorem, on też nie. Najpierw z nią nie rozmawiał, ponieważ przestał w ogóle z kimkolwiek rozmawiać. Wytłumaczył jej to dopiero później i to, że rozmawia tylko ze swoim zajęcem, którym teraz ktoś się zajmuje. Christiane trochę się śmieje, cicho, nieśmiało, jakby nie chciała, żeby ktoś to usłyszał. Zajęca zna już od lat, ciągnie. Do niego ma zaufanie, lubi go, lubi zajęca, poza nim nikogo. Pytam: chcesz go jeszcze zobaczyć, tego faceta od zajęca, a Christiane odpowiada: przecież nie jestem nienormalna.

Dzwonię do Alex, włącza się sekretarka, mówię: Cześć, Alex, Christiane jest w domu, sądzę, że się ucieszy, jak zadzwonisz. Waham się przez chwilę i mówię: tak, i ja, ja też się ucieszę, jak zadzwonisz. Odkładałam słuchawkę. Wiem, że Alex się nie odezwie. Dopiero w grudniu, na krótko przed osiemnastym, może dziewiętnastym.



## SZCZĘŚCIE

Krótką sekwencją snów, tak to później nazwie. Tę ciemną, niemal czarną noc z jedyną gwiazdą, która wschodzi każdego wieczoru o tej samej porze. Od wielu godzin zdaje się tkwić przyklejona tam, w górze, o dwie szerokości dłoni nad najwyższymi drzewami. Błady księżyc zobaczyliśmy już po południu, wzeszedł za górami. Wygląda jak kawałek melona, powiedziała, a ja popatrzyłam na morze, zastanawiając się, jak to możliwe, że był czas, kiedy nic o niej nie wiedziałam.

Upał nie słabnie. Ta odrobina wiatru, która zaplątała się tu w dolinę, wpada między palmy. Żaby wciąż jeszcze skaczą. Prawie ich nie widzimy, ale słyszymy, jak lądują na swoich maleńkich nóżkach, które wyglądają, jakby ktoś próbował je rozciągnąć. Kiedy zapalamy światło, karaluchy śmigają po podłodze tarasu. Leżymy na dywanie, na kawałku orientu. Na zewnątrz woda pluszcze w stawie. Obok stoją pelargonie, przez cały dzień w słońcu, i wyplatane krzesła z wysokimi oparciami. Siadamy w nich, ledwie słońce zajdzie, przyglądamy się naszym bosym stopom, które powoli nabierają kolorów. Pachnie kaktusami, mówię, a ona odpowiada: kaktusy nie pachną.

Pytali, dlaczego nie weźmiemy do tego domu jeszcze kogoś, ostatecznie jest miejsce, a ja odpowiadałam: dlaczego nie, jeśli o mnie idzie. W samolocie siedziała trzy fotele dalej i złapałam się na tym, że nasłuchuję, co mówi, jak mówi, o kim i o czym. Patrzyłam w jej kierunku, żeby zobaczyć, co je, co pije, czy zapala światło do czytania, czy zakłada słuchawki, jaki kanał wybiera, czy śpi, kiedy śpią inni. Gdy po kilku godzinach nasze walizki nie znalazły się na taśmie, a zamówiona taksówka odjechała bez nas, przeszliśmy przez halę i zlecieliśmy odszukanie bagażu. Między okienkami a tablicą ogłoszeń zapytała, dlaczego akurat nasze walizki, a mnie nie przyszła do głowy żadna odpowiedź.

Siedzieliśmy w kuchni dziś wieczorem same. Do okna przykleił się gekon, przyglądał się, jak siedzimy z dwoma kieliszkami wina. Prawie się nie ruszał, od czasu do czasu łapał muchę. Przygotowała dla nas kolację, rybę, którą kupiliśmy w porcie. Nad wodą zapytałam, czy w niej także wzbiera niepokój, kiedy widzi statek na otwartym morzu i nie może rozpoznać: płynie czy tylko kołysze się na falach. Czyli kiedy nie wie, czy się posuwa do przodu, czy stoi w miejscu. Niepokój wzbiera we mnie już na sam widok statku na pełnym morzu, odpowiedziała, a potem roześmiałyśmy się tak głośno, że spojrzeli na nas ludzie z kawiarni na plaży.

Parowało i syczało, kiedy rzuciła rybę na olej, dodając kraby i morskie ślimaki. Oczy krewetek zanurzonych w gorącej wodzie poczerniały. Postawiłyśmy w oknach świece, przyglądając się gekonowi, jak wyrzuca język w przód, a ja pomyślałam o starej kobiecie, która sprzedawała nam rybę.

Jej bracia łowią od rana, ledwie na falach pojawi się pierwszy promień słońca, rzucają do wody sieci z białej łodzi, w której jest miejsca akurat dla dwóch. Stara nie ma zębów, brudne włosy opadają jej na plecy. Krzyczała cały dzień, choć nie było nikogo, na kogo mogłaby krzyczeć. Biegała w tę i z powrotem przed domem, w dole, nad wodą, a my obserwowałyśmy ją z ulicy. Kiedy nie krzyczała, mówiła do siebie bez przerwy. Na tarasie na dachu jej domu stoją donice, w równych odstępach. Zamiast kwiatów powsadzała do nich niebieskie gumowe piłki, pływające tu po wodzie jak małe boje. Męża straciła na morzu.

Naprawdę głośno krzyczeć zaczęła dopiero zobaczywszy braci, którzy po południu wrócili łodzią. Zaczęła, gdy mężczyźni byli jeszcze tak daleko, że nie mogli jej w ogóle usłyszeć. Ale my ją słyszałyśmy. Świeże ryby przyniosła później do baru, głośno przeklinając, zjadłyśmy je tam później. Kiedy zaszło słońce, bracia usiedli przed domem, skrobali nożem rybie łuski, a stara stała przed nimi i krzycząc, wskazywała na ziemię.

Skończę podobnie jak ona, mówię teraz, przy winie, też będę krzyczeć cały dzień, chociaż nikt nie będzie słyszał, chociaż nikt nie będzie mnie słuchał, w pokoju na skraju miasta, na dziesięciu metrach kwadratowych woskowanej podłogi, z widokiem na kosze na śmieci i z olejowym piecem, na którym schną jedyne dwie zmiany bielizny. A ona odpowiada: Tego już nie musisz się bać.

Wszystko, czego potrzebujemy, to paczka papierosów.

Wystarczy nam do szczęścia, mówi, prawie jakby chciała wypowiedzieć przykazanie, i dwoma palcami skręca jasne włosy w węzeł, który natychmiast się rozplata. Chichoczymy całymi nocami. Śmiejemy się ze wszystkiego. Z tego, że zmierzcha, z tego, że za parę godzin znowu ma zacząć dzień, z tego, że w ogóle jesteśmy. Tak. Tutaj. We dwie.

Obok siebie. Śmiejemy się z naszych imion, z imion, jakie mamy naszym dzieciom. Ze śmiechu trzymamy się za brzuchy.

Leżymy w łóżku szerokim na niespełna metr. Nie przeszkadza nam to. Ponieważ nie możemy spać, palimy papierosa, i jeszcze jednego, i jeszcze, tak długo, aż słońce pokaże brud na okiennych szybach. Ona patrzy na moje stopy i stwierdza, że po stopach można wszystko poznać.

Moje wyglądają jak u atletki, tylko że czerwony lakier na paznokciach zaczął się już łuszczyć. Może pewnego dnia obudzisz się, popatrzysz najpierw na sufit, a potem wyjrzysz

przez okno na ulicę, na ludzi wsiadających do samochodu i odjeżdżających, i być może zechcesz mnie opuścić, mówię, ale ona odpowiada: nigdy.

Pracuje w bibliotece. Robię wszystko, żeby zajrzeć tam każdego południa o tej samej porze, żebyśmy mogły zrobić rundkę wokół bloku, zamienić przynajmniej trzy słowa, zalać codzienność kawą w przerwie. Układam pracę tak, że mogę wyjść o dwunastej. Nie umawiam żadnych zdjęć przed drugą. Od jedenastej zaczynam chodzić tam i z powrotem. Najpóźniej o w pół do dwunastej wyjeżdżam, po tym, jak przez dziesięć minut gapię się na jadące samochody, a koledzy mówią: jedź w końcu, działasz na nerwy.

Przed biblioteką tramwaj wypływa tłum ludzi, suną do holu, przez obrotowe drzwi, do szafek.

Przy wejściu do czytelnicy siedzi jej kolega, przegląda gazetę. Podnosi głowę, gdy otwierają się drzwi. Każdego dnia mówi do mnie: pani jest tu nowa, i prosi o pokazanie dowodu. Za ladą do wydawania książek stoją kubistki, jak je nazywamy, oczy przyklejone do skrzydełek nosa, usta na brodzie. A potem ona. Ze słuchawką przy uchu, z palcami na klawiaturze. Nie zwracam uwagi na czekających. Staję tuż przed nią. Patrzy na mnie, daje mi znak, odkłada telefon. Macha do koleżanki i mówi: idziemy.

Kiedy świeci słońce, wystawiamy na zewnątrz krzesła, na mały występ przed moim oknem, który trudno nazwać balkonem. A ponieważ słońce świeci rzadko i grzeje tylko trochę, akurat tyle, by móc się domyślać, jak to jest, kiedy robi się naprawdę ciepło, pyta, czy nie spędziłybyśmy zimy tam, gdzie właśnie byłyśmy, a ja odpowiadam: tak.

Dzięki niej wprowadza się do nas luksus, coś, czego nie znam. Nieważne, jak długo rozmawiam przez telefon. Zapłacimy rachunek. Przynosi ciasto z najlepszych delikatesów w mieście. Nie martw się, mówi. Kupujemy tony książek. Kupujemy ciastka. Najlepszą aromatyzowaną herbatę, jaką można tu dostać, wanilia, mówi, z szybkim n i długim, przeciągniętym i. Kupuje bieliznę pościelową, z której nie chce nam się wychodzić ani jej zmieniać. Kiedy gdzieś idzie wieczorem, zostawia kilka słów na zakurzonej szybie kuchennego okna.

Jedziemy z innymi do miasta, do pubu, w którym pachnie oliwką, a guinness serwowany jest w brudnych kufkach. Wraca z toalety i krzyczy na kelnera: uwielbiam stać w sikach po kolana, a wszyscy się śmieją. Kelner wzrusza ramionami, nalewa guinnessa, za którego nie każe jej płacić. W drodze do domu otwiera szyberdach. Nad nami rozgwieżdżone niebo. Tyle gwiazd, na ile pozwala miasto. Włącza kasetę, podaje mi piwo, gulgoczemy: Mój sposób okazywania miłości to mmmilczenie.

Na imprezach leżymy razem w wannie, bo nie mamy wanny w domu, ani ona, ani ja. Najczęściej jesteśmy tak pijane, że inni zostawiają nas po prostu w spokoju. Na nasz widok kręcą głową, zasuwają zasłonę i sikają do klozetu obok. Jesteście nienormalne czy co? pytają, a my odpowiadamy: tak, oczywiście, jesteśmy nienormalne czy co, a ona śmieje się jak najwyżej pięcioletnie dziecko. Wszystko zapomniała. Że ojciec czekał, póki nic nie zostało na talerzu. Że matka chowała butelki z koniakiem, gdy tylko ktoś przychodził. Że w drodze do szkoły zawsze szła trzy metry za innymi, że nigdy się nie odzywała.

Najczęściej biorę ją rano do miasta, zostawiam na dużym skrzyżowaniu za teatrem, skąd idzie w kierunku strefy dla pieszych. Dzisiaj parkuję, wysiadam, kupuję papierosy. Przechodzi przez ulicę, zatrzymuje się na następnym czerwonym świetle, w tłumie ludzi. Patrzę za nią, gdy robi tych kilka kroków, a ona z pewnością o tym wie. Odwraca się, zdejmuje apaszkę, macha nią, krzyczy coś nad obcymi głowami, niektóre z nich odwracają się w moim kierunku, śmieje się i znika w tłumie. Jeszcze raz migną mi jej jasne włosy, potem schowa się za obcymi plecami.

Przeprowadziłam wczoraj pięć wywiadów, uścisnęłam co najmniej dziesięć wilgotnych dłoni, co najmniej trzydzieści razy powiedziałam: proszę nie patrzeć do kamery, tylko na mnie, po prostu na mnie, i proszę mówić zupełnie naturalnie, proszę nie myśleć o tym urządzeniu, wiem, że to trudne. Operator wywracał oczami, przy wspólnym obiedzie nie powiedział ani słowa, zapłaciłam rachunek, podczas jazdy trąbił i przeklinał, aż rozboleła mnie głowa.

Później wyzywał ludzi na ulicy od aspołecznych, a ja zapobiegałam bijatyce, kiedy ktoś z tego powodu chciał zrzucić mu z ramienia kamerę.

Wieczorem wrzeszczałam na montażu, że nie chcę więcej pracować z tym dupkiem, a asystentka producenta powiedziała cicho: ok, nie musisz. Później szepnęła coś swojemu szefowi, który popatrzył na mnie, jakbym ześwirowała, akurat ja. Wreszcie wylądowałam w barze, piłam piwo.

Ktoś mnie zagadnął, a ja wiedziałam, że to najgorsze, co może mi się przytrafić, zostać zagadniętą w barze przez nieznanego.

Kiedy człowiek się odkochuje, chudnie, powiedział nieznanomy, a ja wyjaśniłam, że to bzdura, nie sprawdza się, przynajmniej w moim przypadku. Przybrałam co najmniej osiem kilo, już nie wchodzę na wagę. Zapakowałam ją w folię, znikła w szafie, o której zapomniałam już, gdzie stoi. Jem wszystko. Wszystko, co przynosi moja matka, wszystko, co zapakuję w supermarkecie, wszystko, co mogę kupić przy okazji na stacji benzynowej, wszystko, co ładuję do zamrażalnika.



Ładując, odkryłam zdjęcia, które zrobiłyśmy sobie ponad rok temu. Ja jej, a ona mnie. Ma zafarbowane na biało włosy spadające na twarz długimi pasmami. Wtedy powiedziała, że to jedno z nielicznych zdjęć, które jej nie torturuje i dlatego wolno mi je przykleić do lodówki. Później włożyła je do zamrażalnika, tłumacząc, że jej uczucia dla mnie są takie jak temperatura w jego środku. Zostawiłam je tam. Obok trzech paczek szpinaku w śmietanie.

W naszych ostatnich tygodniach przedłożyła mi zdjęcia jako materiał dowodowy. Wszystkie były nieostre. Powiedziała, że zatraciłam kontury, więc nic dziwnego, że i one się takie zrobiły. Znikła z nieostrymi zdjęciami, i od tej pory choruję. Boli mnie żołądek. Muszę leczyć zęby. Mam półpasiec. Brak mi tchu. Leżałam na kamieniach gdzieś w lesie, w którym nigdy przedtem nie byłam, i wydawało mi się, że nie złapię oddechu.

Zastanawiałam się nocami, później także w dzień, o co chodzi z tym siedzeniem w portach albo na występie, który nie jest balkonem, albo nad morzem podczas zachodu słońca. Co to znaczy pić piwo, ledwie niebo zaczyna zmieniać kolor. Co to znaczy nie wychodzić z łóżka przez cały dzień. Dziś rano zgłosiłam, że jestem chora. Asystentka producenta powiedziała cicho, jak zwykle: Życzę powrotu do zdrowia. Przyszła moja matka ze świeżymi bułkami, których potem nikt nie zjadł. Ustaliliśmy znak dzwonkiem, dwa razy krótko, raz długo, bo od miesiący nikomu nie otwieram. Matka przyniosła gazetę, żeby pokazać mi zdjęcie kobiety, która dała sobie zoperować nos. Operacja się nie udała, kobieta została oszpecona. Położyła otwartą gazetę obok mojego kubka z kawą, spojrzała matczynym wzrokiem, który miał mi powiedzieć: to jest prawdziwe nieszczęście, ciesz się.

Przyniosłam z pokoju brudne ubrania, odkręciłam kurek, nasypałam do pralki proszku, wlałam płyn zmiękczający, ta czynność mnie uspokoiła. Usiadłam przed pralką, przyglądałam się jednostajnym obrotom bębna. Wsłuchiwałam się w jego odgłos, kiedy ruszał, w odgłos wlewającej się do niego wody. Później siedziałam przy suszarce na pranie, z filiżanką aromatyzowanej herbaty czekałam, póki nie wyschło. Obserwowałam, jak wilgotne powietrze znad kaloryfera zasnuwa parą okna, jak krople wody spływają, by spaść na parapet. Tak jest od miesiący. Przyglądam się schnącemu praniu i myślę, że dokładnie to, ten widok, będzie mi musiał na jakiś czas wystarczyć.

## PSY

Mieszkaliśmy w bloku z czerwoną fasadą, pięcio - albo sześciopiętrowym, rodziny nad nami, pod nami, z dziećmi, za każdymi drzwiami troje lub czworo, z dziadkami stojącymi w oknach i obserwującymi autostradę, słupy wysokiego napięcia, kilka dróg wyjazdowych z naszego osiedla.

Kaj miał kilku braci i był z jednej z tych rodzin mieszkających w blokach z bladoniebieską fasadą, po drugiej stronie ulicy, za stacją trafo, tam, gdzie pociągi wjeżdżają do miasta, a my wieczorami wpychaliśmy się czasem na tory. Kaj z matką, którą widywaliśmy rzadko i która nosiła reklamówki, po trzy, cztery w każdej ręce. Kiedy schodziła w dół ulicy po zakupy, nigdy nie patrzyła przed siebie, tylko pod nogi, na drogę, na chodnikowe płyty pod stopami, jakby się bała potknąć. Matka Kaja o włosach, które podobno farbowała, i o złej reputacji, bo podejrzewano, że każde z dzieci ma innego ojca. Jej najmłodszy synowie chodzili do kiepskich szkół, starsi siedzieli pod spękkanymi zadaszeniami nad drzwiami wejściowymi do bloków, na meblach, które ktoś wyrzucił na śmietnik.

Kajowi zawsze towarzyszyli dwaj, trzej chłopcy z ulicy, chodzili za nim krok w krok. Włóczyli się po polach, zakradali do domów, chowali na strychach, za drzwiami z drewnianych desek, dopóki ktoś ich stamtąd nie przegonił. Popołudniami tego lata, o którym myślę, siadywali z Kajem na ławce, na placu, gdzie wszyscy się spotykaliśmy.

Siedzieli tam, niewiele mówiąc, aż do wieczora, wtedy zostawali sami, bo plac się wyludniał, a my znikaliśmy za czerwonymi albo niebieskimi fasadami. Kiedy widzieliśmy, że nadchodzą, Kaj i reszta, ze spuszczonej ze smyczy psami, wstawaliśmy z ławki i odchodziliśmy. Było w nich coś, co mówiło, że niedobrze spotkać ich twarzą w twarz, niedobrze nawet koło nich przechodzić. Kaj prawie nic nie mówił, najczęściej ruszał tylko brodą, ręką, ale każdy rozumiał jego gesty, nawet najmniejsze, niemal niewidoczne, i to, że jest za późno na zejście z placu, kiedy są już blisko, to także każdy rozumiał.

Tego lata bawiliśmy się w pewną grę, całymi popołudniami, tygodniami. Patykiem rysowaliśmy na piasku wielkie koło, kulę ziemską, dzieliliśmy piasek od ławek do huśtawki, dzieliliśmy świat, jak chcieliśmy, a potem każdy stawał na wąskim pasku, na jednej części świata, która tego popołudnia należała do niego. Ktoś rzucał w powietrze patyk, który leć, obracał się na tle bladego, bezchmurnego nieba. Patrzyliśmy za nim, odrzucając w tył głowy, gotowi ruszyć biegiem, gdy tylko spadnie. Ten, komu spadł pod nogi, chwycił go i uciekał, a inni gonili go z krzykiem i piskiem, żeby odebrać mu ten patyk, ten kawałek ziemi, tę część

świata, na której wylądował. Najczęściej świat dzielił Kaj, wyjmował nam patyk z ręki, kiedy zabieraliśmy się do rysowania, wyrzucał go wysoko i daleko, a kiedy zaplątał się w drzewa, w gałęzie, w gęste korony nad naszymi głowami, a my wybuchaliśmy śmiechem, odwracał się, chwycił któregoś z nas i wrzeszczał: co w tym śmiesznego, w patyku, który ląduje na drzewie. Potem wspinał się po niego, chociaż wokół wszędzie leżały inne patyki i gałęzie.

Jednego z tych popołudni, które teraz łączą się, jakby nic ich nie dzieliło, jakby były jednym długim popołudniem.

Kaj cisnął patyk pod moje stopy, nie wyrzucił go w powietrze, nie dał nam popatrzeć, jak szybuje na tle niebieskiego, bezchmurnego nieba. Oparł dłonie na udach, zwiesił głowę między ramiona, zawsze tak robił, zanim się podniósł i zamachnął do rzutu, a potem go zobaczyliśmy, ten patyk, przed moimi stopami. Nie ruszyłam się z miejsca, chociaż powinnam była natychmiast rzucić się biegiem, stałam, nikt inny też się nie ruszył, żeby mi go zabrać. Patrzyliśmy wszyscy, jak leży w piasku przed moimi stopami, jakby Kaj dokładnie tak chciał go rzucić, żeby wskazywał na mnie, na moje stopy, a potem spojrzeliśmy na Kaja, który milczał, nie ruszał nawet brodą ani ręką, pamiętam, że jakieś dziecko zeskoczyło za naszymi plecami z huśtawki, która nie przestawała się kołysać tam i z powrotem.

Następnego ranka Kaj czekał na rogu ulicy, tam, gdzie opadała w dół wzdłuż garażów, w kierunku szkoły. Kaj z rozwiązanymi sznurówkami leżącymi na butach, o włosach koloru włosów jego matki. Szedł obok mnie, chociaż tego nie chciałam, uważałam, żeby za bardzo się nie zbliżył, nie dotknął mojego ramienia. Powiedział: odprowadzę cię, przez następne dni nie powiedział nic więcej, nie odzywał także wówczas, kiedy koło mnie szedł. Każdego ranka odprowadzał mnie pod szkolną bramę, zatrzymywał się, wyciągał ramię na wysokość klatki piersiowej, żeby dać mi do zrozumienia, że nie wolno mi się ruszyć, zanim wszyscy inni nie wejdą, i kiedy nas mijali, wstydziłam się, że widzą mnie z Kajem, akurat z nim.

Popołudniami też tam stał, czekał na mnie po drugiej stronie ulicy, pod zadaszeniem sklepu papierniczego, w cieniu, ze spuszczonej ze smyczy psami, z rękami głęboko w kieszeniach i wzrokiem jak wzrok jego braci. Udawałam, że go nie widzę, zatrzymywałam się przy bramie, w nadziei że sobie pójdzie, albo wychodziłam przed innymi, sądząc, że straci mnie z oczu, ale za każdym razem doganiał mnie chwilę później i znowu szedł obok przez całą tę długą drogę wzdłuż garażów, zatrzymywał się na rogu przy skrzyżowaniu i mówił: do jutra.

Czasem skręcał za ostatnimi wysokimi blokami, szedł za ogródkami działkowymi, a potem przeciskał się ze mną przez dziurę w drucianym ogrodzeniu. Siadał na murku i zaczynał strugać scyzorykiem gałąź, póki spod kory nie wyłonił się zielony środek, wióry

spadały na kamienie pod jego stopami, a ja stałam, przyglądając się, bo nie wiedziałam, gdzie miałabym patrzeć. Przycinał gałąź w szpic, aż zmieniała się w strzałę, a ciskał ją nad moją głową tak, by wbiła się za mną w ziemię.

Rano, kiedy się budziłam, miałam nadzieję, że go nie będzie, że nie będzie na mnie czekał. Chciałam, żeby o mnie zapomniał - o mnie, o drodze do szkoły, placu za ogródkami działkowymi, o przyczepie kempingowej, odłamanych gałęziach, strzałach. Ale Kaj nie opuszczał ani jednego dnia.

Jeśli nie czekał na rogu, dołączał do mnie chwilę później, dwa bloki, dwie klatki schodowe dalej. Popołudniami na placach, gdzie się umawialiśmy, też trzymał się w pobliżu, zawsze w zasięgu wzroku, co rusz odwracał głowę w moją stronę i ledwie zauważył, że ktoś się ze mną kłóci, gwizdał na psy i podchodził dwa kroki, nie więcej niż dwa kroki, a kłótnia ustawała. Kiedy bawiliśmy się w naszą grę i ktoś odebrał mi kawałek kraju, dbał o to, żebym dostała go z powrotem i żeby mój przeciwnik odpadł w następnej rundzie. Wkrótce zaczęłam myśleć, że widzi mnie nawet wtedy, gdy nie przychodzi na plac, żeby siedzieć z innymi na ławce albo szaleć w piasku z psami, nawet gdy się chowam za krzakami, tam, gdzie kończą się łąki, a droga wiedzie w pola.

Nie wiedziałam, dlaczego wybrał mnie, mnie, którą mógł zamknąć w kręgu swoich kroków jednym ruchem brody i która nie była w stanie tego kręgu przerwać. Coś kazało mi wierzyć, że nie mogę zmienić tej kolejności niekończących się popołudni, z której wypadło tylko jedno, bo Kaj nie czekał na mnie pod szkolną bramą sam, tylko razem z kolegami, którzy zazwyczaj siadywali z nim na ławce. Stali pod zadaszeniem, w cieniu, z podkurczoną jedną nogą, a kiedy wyszłam, odbili się od ściany i poszli za mną i Kajem, i psami.

Kaj podszedł do swojego murka za przyczepą kempingową, usiadł, wyciągnął nóż, zaczął strugać gałąź, a inni palili i pluli na przyczepę szerokim łukiem. Pluli nad moją głową i za każdym razem, kiedy usiłowałam odsunąć się krok na bok, Kaj ruszał brodą, a ja zastygłam w bezruchu, patrzyłam w ziemię i czekałam, aż to się skończy, aż dadzą mi spokój na wieczór, do następnego ranka. A potem, w chwili kiedy Kaj obrócił między palcami ostrze noża, żeby mnie oślepić jak lusterkiem, jeden z nich trafił mnie w ramię, w prawe ramię, a ja podniosłam wzrok, spojrzałam na bluzkę, na moją zieloną bluzkę, na której rozpyłyła się ślina. Kaj upuścił nóż, zeskoczył z murka i mimo tego skoku na mgnienie oka zrobiło się dziwnie cicho, i w tym momencie rzuciłam się do biegu. Uciekałam stamtąd, po raz pierwszy, odkąd Kaj rzucił patyk pod moje stopy, po raz pierwszy uciekłam, od Kaja i jego kolegów, od tego placu za przyczepą kempingową, od tego murka, od tych psów,

pędziłam ulicą, minęłam stację trafo i garaże, wreszcie wpadłam do jakiejś klatki schodowej i popędziłam schodami w górę, żeby się ukryć.

Słyszałam ich za sobą, pod sobą, jak otwierają gwałtownie drzwi, psy szalejące na klatce, ujadające, i to, że pozwalają, żeby szalały i ujadły, podczas gdy ja skradałam się w górę, bezgłośnie, z plecami przy ścianie, powoli, w górę, aż do drzwi na strychy, górą można było przejść do innych bloków, tam, gdzie Kaj ukrywał się niekiedy z kolegami.

Wiedziałam, że będę musiała otworzyć te drzwi i że zaraz pozwolą psom biec, a one popędzą schodami, bo mnie czują, bo już dawno mnie wyczuły. Ktoś wrzasnął, usłyszałam, jak się śmieją, a potem zatrzymują się drzwi tej klatki schodowej, chłodnej i ciemnej, podczas gdy na zewnątrz na niebieskim niebie, w pełni lata świeciło słońce. Usiłowałam otworzyć drzwi, chciałam to zrobić bardzo cicho.

Byłam pewna, że Kaj wie, że jestem tu na górze, przed tymi drzwiami, które nie dały się otworzyć, nie mnie, i że wystarczy, że wejdzie po schodach, powoli, jeśli chce, znaleźć mnie pod tymi drzwiami, w mojej zielonej bluzce, która lepiła się do ramienia, a potem go usłyszałam, jego głos, którego prawie nigdy się nie słyszało, jak mówi: Nie ma jej, chodźmy. Powiedział to tak głośno, że mogłam usłyszeć, pięć, może sześć pięter wyżej, tam, gdzie się zatrzymałam, naciskając drzwi plecami, rękami nawet wtedy, gdy dawno już poszli.

Kaj przestał czekać rano na rogu ulicy, żeby odprowadzić mnie bez słowa do szkoły. Nie doganiał mnie też dwa, trzy bloki dalej, nie stał pod zadaszeniem sklepu, przed witrynami z ołówkami i blokami rysunkowymi. Dopiero kilka tygodni później zrozumiałam, że już nie przyjdzie.

Aż do jesieni, a może nawet do zimy, każdego ranka, każdego południa myślałam, że zaraz go zobaczę za jakimś wejściem do bloku, za samochodem, z rękami głęboko w kieszeniach, z psami.

Prawie nie widywałam go na placach, gdzie nadal się spotykaliśmy każdego popołudnia, dopóki pozwalało słońce, żeby patykami rysować na piasku linie naszej gry, a potem rzucać go w powietrze, na tle tego wciąż jeszcze błękitnego nieba. Kiedy biegł pies, spoglądałam w górę placu, tam, gdzie się wchodziło po czterech, pięciu płytach chodnikowych, które ułożono, żeby nie trzeba było pchać dziecięcych wózków przez błoto. Ale to nigdy nie był Kaj, nigdy nie szedł po płytach, nie wiem, jak często podnosiłam głowę za każdym razem, kiedy ktoś przechodził, ani jak długo trwało, zanim przestałam wierzyć, że to on, gdy inni bawili się z psami na piasku. Jak długo jeszcze myślałam, że to Kaj - Kaj z rozwiązanymi sznurówkami i z włosami koloru włosów jego matki.

## NAJGORETSZE LATO

Zjechaliśmy z autostrady - Lisa, ja i inni - i od dłuższej już chwili posuwaliśmy się zwykłą szosą, biegnącą w pobliżu dwóch granic naraz, byliśmy gdzieś za Udine, nieustannie pytaliśmy o drogę, po włosku znaliśmy tylko kilka słów i wszyscy kręcili głową, wzruszali ramionami, odwracali się, wołali kogoś, a potem, zebrawszy się w dwie, trzy osoby, sprzeczali się, by wreszcie wytłumaczyć, jak mamy jechać.

W końcu uznaliśmy, że zmierzamy w dobrym kierunku.

Na małym znaku na skrzyżowaniu widnieje nazwa, za którą się rozglądaliśmy od dzisiejszego przedpołudnia, być może już od wczoraj. Lisa szukała jej z pewnością od tygodni, przynajmniej w myślach, w ostatnich dniach wciąż patrzyła na swój kawałek kartki, który musiał zostać oderwany od większego arkusza, kartka z adresem zapisanym ołówkiem, litery wyglądały jak stawiane przez dziecko próbujące sił w pierwszych zdaniach.

Posuwamy się zwirową ścieżką, wąską drożyną. Moja matka lamentuje, co będzie, jak ktoś nadjedzie z przeciwka. Ale nie ma nikogo, ani w samochodzie, ani na skuterze, nawet pieszo. Wznosimy się wyżej i wyżej, mijając drewniane krzyże, kozice, drzewa rosnące teraz rzadziej, mniejsze i już nie tak soczyście zielone, pod niebem, które nagle robi się białe. Od dawna nie widać żadnej równiny, na którą moglibyśmy spojrzeć z góry. Pochłonął ją liściasty las tuż po tym, jak skręciliśmy, równinę z domami i murami, z żółcią i czerwienią. Mój brat ociera pot z czoła, hamuje i trąbi przed każdym stromym zakrętem, opony poddają się, samochód się ślizga, wznieca kurz, zamykamy okna mimo upału, Lisa i ja na tylnym siedzeniu, odwracamy się po każdym zakręcie, który prowadzi nas wyżej, wyglądamy przez szybę pokrytą drobnym jasnożółtym kurzem, zerkam na Lisę, chciałabym, żeby na mnie spojrzała, ale ona już na mnie nie patrzy. Odkąd skręciliśmy, tam w dolinie, już na mnie nie patrzy. Ścisną w dłoniach kartkę z adresem, jakby musiała się jej przytrzymać, jakbyśmy mogli zabłądzić jeszcze i teraz, jakby droga mogła się znowu rozdzielić i poprowadzić nas w innym, niewłaściwym kierunku.

Zbocze kończy się między dwoma małymi domami, w gospodarstwie cichym i bez cienia w południowym słońcu. Kury, króliki, dwie kozy, pies w podskokach podbiega do auta, nie szczeka. Ktoś wychodzi z domu, ma niebieskie spodnie, koszulę w kratę, czapkę, którą zdejmuje już przy pierwszym kroku, podchodzi do nas, podaje każdemu rękę i uśmiecha się trochę krzywo uśmiechem, który pewnie niewiele się zmienił od dzieciństwa, odsłaniając drobne zęby. Luca, nie musiał się przedstawiać, bo wiemy, że jest jedynym, który jeszcze

mieszka w tym gospodarstwie, kuzyn albo wuj Lisy, nie wiadomo, nie pytamy, to nieważne teraz, w tym momencie. Dowiemy się później, później, kiedy wrócimy do siebie, do miejsc, gdzie mieszkamy, bez zwirowej ścieżki, bez kamiennego domu, bez kóz. Próbujemy wypowiedzieć kilka słów, kilka zdań, udaje nam się. Pies łąsi się do Lisy, ociera się o jej ciemnobrązowe od letniego słońca nogi. Liże jej stopy w jasnoniebieskich sandałach.

Luca prowadzi nas do domu, to ten mniejszy, jego dach jest krzywy, może dlatego, że musiał przetrwać zbyt wiele zim i zbyt wiele lat, tutaj, w górach. Bierze z tacki szklanki, stawia je na drewnianym stole, który wygląda tak, że u nas, w miejscach, gdzie mieszkamy, od ręki można by go było sprzedać za cenę, która z pewnością by Luce zdziwiła, musiałby się roześmiać, nalewa czerwonego wina i wody. Lisa rozgląda się jak ktoś, kto ma prawo się rozglądać, kto nawet ma prawo otwierać szuflady, drzwi od szaf, szkatułki z kartkami, z listami. Wszystkiemu długo się przygląda, ciężkim drzwicom prowadzącym z kuchni do pokoju, ciemnym szafom z kilkoma naczyniami, małemu stosowi białej pościeli, koszowi ze szczapami drewna przed piecem i belkom nad naszymi głowami. Mały spiczasty dach powstrzymuje napór światła i przez dwie, trzy szpary wpuszcza go akurat tyle, żebyśmy mogli przeczuć, z jaką siłą słońce zalewa wszystko na zewnątrz.

Drewno wokół nas zdaje się mówić. Potrzaskiwania, skrzypienie dobywają się z podłóg i belek. Stoimy, trzymając się szklanek z odrobiną wina. Nie znamy Luki, nigdy go nie widzieliśmy, nigdy nie odgrywał dla nas, w naszym życiu, żadnej roli, nawet nie pojawiał się w historiach opowiadanych przez matkę Lisy daleko od tej wsi, która nawet nie jest wsią, tylko miejscem w górach, gospodarstwem z dwoma małymi domami, opuszczonym przez nią wiele lat temu, już nawet nie wie, jak dawno.

Możemy się rozejrzeć. Luca nam pozwala, podnosząc ręce, pokazując wnętrze dłoni i cofając się o krok, jakby chciał zrobić miejsce. Tu mieszkała babka, której Lisa nigdy nie spotkała, którą ledwo zna ze zdjęć, bo prawie nie ma zdjęć z tego czasu, kiedy matka Lisy dorastała tu, włóczyła się po pobliskich lasach, biegała z kurami po podwórzu, oplakiwała skórowane króliki i niekiedy rzucała kamieniami w korony drzew, bo lubiła odgłos wydawany przez liście, szybki, krótki szelest. Babka Lisy mieszkała tu jeszcze kilka tygodni temu, a teraz leży na wiejskim cmentarzu, dwie doliny dalej, pod drewnianym krzyżem i garstką kwiatów przyniesionych przez Luce, który co trzy, cztery dni zjeżdża w dół czerwonym samochodem dostawczym, trąbiąc przed każdym zakrętem, wznecając kurz na drodze. Mówi nam, że w przyszłym roku będzie tam stał kamień z jej zdjęciem, z czarno-białym zdjęciem.

Lisa upija łyk wody. Jej spojrzenie się zmieniło, coś zakryło błękit oczu, jakby szyba z mlecznego szkła. Odwraca się, kładzie rękę na kredensie, jakby musiała się podeprzeć, przynajmniej na chwilę, jakby nie chciała, żebyśmy widzieli taką jej twarz i ten filtr, który się na nią nałożył. Luca otwiera drzwi do pokoju, chociaż o to nie prosiła, w nozdrza uderza wypełniający go zapach, mieszanina kurzu i starych materiałów, i coś ostrego, niemal żrącego. Lisa rozsuwa zasłony, jak ktoś, komu wolno, kto zna to miejsce, bo każdego ranka rozsuwa zasłony, żeby zobaczyć, jak wysoko jest słońce, jak błyszczy niebo. Niewiele tu rzeczy, na których mogłaby zatrzymać wzrok, łóżko z białą, robioną szydełkiem kapą, pocerowaną w dwóch, trzech miejscach, wciśniętą po bokach między ramę a materac, na kapie dwie ozdobne poduszki, ciemnoczerwone, szafa na ubrania, którą Lisa teraz otwiera. Przeciąga palcami po bieliźnie, dotyka materiałów, potem podnosi rękę. Wygląda, jakby chciała dać nam znak, jakby chciała powiedzieć: zostawcie mnie, idźcie. Pochyla się, chowa twarz w ciemnych płaszczach. Widać tylko jej włosy, długie, jasnobrązowe, rozpostarte na ciemnych materiałach między drzwiami szafy.

Mój brat próbuje coś powiedzieć, w tym szczątkowym włoskim, który zna, którego nauczył się wieczorami w szkole albo z broszurki pod tytułem Włoski dla początkujących.

Próbuje rozmawiać z Lucą, może, by dać Lisie czas, jakiego potrzebuje, żeby zatopić się w materiał, w zapach, a być może tylko po to, by przerwać ciszę, tę dziwną ciszę, która spłynęła na nas i pochłania nawet wypowiedane teraz słowa, ciszę, która nas ogarnęła, gdy wszyscy patrzyliśmy na włosy Lisy, tylko na jej włosy, na nic więcej.

Lisa podeszła do komody, jakby trochę oszołomiona, w rękach ma fotografię, czarno-białe zdjęcie w drewnianej ramce zrobione w atelier, przedstawiające jej babkę, może taką, jaka była przed dziesięcioma, dwudziestoma laty, z krótkimi czarnymi włosami rozdzielonymi z boku i ułożonymi w fale, małe kolczyki naciągają płatki uszu, pasujący do nich naszyjnik, kołnierzyk bluzki z wzorem z maleńkich płatków i gałązek, bluzki, która wisi w szafie i której Lisa dotykała, zanim, trochę niepewnie, podeszła do komody.

Stoi i coś w niej wygląda w tej chwili na mniejsze, młodsze. Jestem pewna, że inni też to zauważyli. Mój brat, moja matka przestali mówić, Lisa trzyma fotografię obydwiema rękami, pyta, czy może ją zabrać, nie musimy tłumaczyć.

Luca kiwa głową i mówi: oczywiście, w swoim języku, a potem Lisa zaczyna płakać, Lisa, której nie ogląda się płaczącej, bezgłośnie, z drgającymi ramionami, jakby mogła przed nami ukryć, że płacze z powodu babki, którą zawsze sobie tylko wyobrażała, składała jedynie w myślach z kilku słów wypowiedzianych przez matkę, babki, której nigdy nie widziała, bo mieszkała gdzie indziej, daleko, na innym kontynencie, tutaj, z kozami i kurami, i królikami,



w izbie z łóżkiem, którego z nikim nie dzieliła, i z piecem, który trzeba napełniać drewnem, żeby grzał, mówiącej językiem, w którym Lisa nie potrafi powiedzieć nic ponad dzień dobry i dziękuję, i to tylko dlatego, że powiedzieliśmy jej jak.

Matka Lisy opuściła to miejsce, kiedy była wystarczająco dorosła, opuściła je szybko, bez wahania, bez oglądania się za siebie, tak szybko, że innym zdawało się, iż tylko czekała na ten dzień, że zawsze wyobrażała sobie, jak tego dnia, w środku najgorętszego lata, weźmie walizkę, zawiąże chustkę, założy buty, i co potem powie, spojrzawszy po raz ostatni w lustro, do swojej matki i innych, także do

Luki, który wówczas był młodszy niż Lisa i ja teraz. Musiał w końcu przyjść ten dzień, żeby wreszcie mogła robić i mówić wszystko, o czym marzyła, wędrując po lasach, kiedy próbowała oddalić się od tego, co ją otaczało. Zbiegła w dolinę, nie zważając, że kurz pokrył jej buty, aż do większej drogi, gdzie wsiadła do autobusu do miasta, żeby stamtąd pojechać dalej, w poprzek kraju, na drugą stronę, tam, gdzie wielkie statki wypływają na jaskrawo-niebieskie morze, którego jeszcze nigdy nie widziała, i wiedziała, jaki to będzie statek i gdzie nim dopłynie, także to wyobraziła sobie dokładnie.

Matka Lisy nigdy nam o tym nie opowiadała, ale Lisa mówi, że wzięła pierwszego lepszego mężczyznę, który zagadnął ją na tym statku - wokół widać było głębokozieloną wodę, białą pianę na falach i niebo, po raz pierwszy rozległe i nieskończone, już nie poprzecinane i zasłonięte przez lasy. Ten mężczyzna został ojcem Lisy, a ona mówiła o tym zawsze tak, jakby jej matka miała szczęście, że ktoś w ogóle ją zagadnął. Matka Lisy, która w letnich miesiącach spędzanych z nami w łodziarniach zamawiała po włosku cichym, niemal niesłyszalnym głosem, bo bała się, że ktoś mógłby zauważyć, że tak naprawdę mówi w innym języku, używanym jedynie tu, wysoko, tylko tu, w tych górach, i że on natychmiast ją zdradzi. Matka Lisy, która rozjaśniała włosy i farbowała rzęsy, która kupowała rzeczy niewymagające prasowania, która mieszkała w domu z wielkimi oknami, bez schodów, gdzie jedynym zwierzęciem był śnieżnobiały, nigdy nie wypuszczany na zewnątrz kot. Matka Lisy, która jeździła zbyt dużym, zbyt zielonym samochodem i nie umiała go zaparkować, i tylko dwa razy na kilka dni pojechała do swojej wioski, do swojego gospodarstwa, gdzie inni dziwili się jej włosom i rzęsom. I być może także temu, że naprawdę odeszła, a potem kładła się do swojego starego łóżka jak obca.

Lisa patrzy przez okno, przez maleńkie okno obramowane ciemnym drewnem. Patrzy na ziemię, na której kury i kozy zostawiły swoje ślady, na klatki z królikami, trzyma w rękach fotografię jak coś, czego długo szukała i w końcu znalazła, odwraca się do nas i spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: dobrze, jestem gotowa, możemy iść.

Luca wyjmując z szafy białe płótno, Lisa zawija w nie zdjęcie jak prezent, z którym trzeba się ostrożnie obchodzić.

Luca zatrzymuje się przy otwartych drzwiach, jakby miał nadzieję, że Lisa coś zechce z tej pościeli, z tych ubrań. Lisa staje w drzwiach, w tych małych drzwiach, wypełnia je niemal całkowicie. Opiera dłonie o framugę z prawej i lewej strony, jakby w ten sposób mogła wziąć coś jeszcze, nawet jeśli miałyby to być tylko czucie w rękach. Żegnamy się z wahaniem i niezręcznie. Równie niezręcznie, jak rozglądaliśmy się po domu, po podwórzu, chociaż Luca pozwolił nam na wszystko w ciągu tych kilku godzin, kiedy piliśmy jego wino i próbowaliśmy trochę rozmawiać, trochę udawać, że łączy nas więcej, wiele więcej niż tylko jedno popołudnie. Wiemy, że nigdy nie zobaczymy już Luki, i sądzę, że on też to wie, ma takie same myśli, teraz, kiedy stoimy przy samochodzie. Lisa jeszcze niegotowa, żeby wsiąść, gapi się na swoje jasnoniebieskie sandały, przesuwa prawą stopę w przód i w tył, wygrzebuje w ziemi bruzdę.

Nie odzywa się, kiedy zjeżdżamy w dolinę. Siedzi na tylnym siedzeniu, obejmuje ramionami podkurczone nogi.

Wsluchujemy się w skrzypienie spod kół, w trzask wyskakujących spod nich małych kamyczków, co rusz uderzających w przednią szybę. Mój brat nie hamuje ani nie trąbi przed każdym zakrętem. Nie boimy się, że ktoś nadjedzie z przeciwka.

## LARRY

Nie było drugiego takiego jak Larry. Ważył sto pięćdziesiąt kilo i był co najmniej dwie głowy wyższy od nas wszystkich. Pisał wiersze, bo lubił to nocne uczucie. Poznałyśmy go na tańcach. W klubie przy 15. ulicy. Piłyśmy z Ione duże beck'sy z butelki i tańczyłyśmy, wyrzucając ramiona w powietrze. Wychodziłyśmy na taras, żeby się ochłodzić, paliłyśmy, odchylałyśmy głowy i gapiłyśmy się w niebo.

Byłam w mieście od kilku dni, spałam na macie w kuchni.

Ione wyrzucono z pokoju. Larry dawał nam znaki, przywołał nas do baru i zapytał, czego byśmy chciały posłuchać.

Counting Crows, Mr. Jones, powiedziałam. Przyciągnął didżeja za kołnierz i powiedział mu coś do ucha. Kiedy rozległa się piosenka, Larry przepchnął nas przez tłum na parkiet. Ione potrząsała długimi ciemnymi włosami.

Ja się obracałam. Larry tańczył coś w rodzaju flamenco.

Zamknął oczy. Czerwone światło reflektora padało na jego twarz. Poruszał się spokojniej niż inni. Wolniej.

Rano nas wyrzucili. Barman wcisnął nam do rąk trzy beck'sy. Zbiegliśmy po wąskich, stromych schodach na ulicę. Kawiarnia naprzeciwko była jeszcze zamknięta. Usiedliśmy na ustawionych jedno na drugim, połączonych łańcuchem krzesłach. Larry pstryknął jointa na chodnik.

Gapiałam się na dym, na nasze ostro obrysowane cienie.

Larry powiedział: Dzisiaj są urodziny Aldousa Huxleya, ach tak, i przychodzi mi do głowy, że nikt nie wie, jak naprawdę wygląda kolor czerwony, dopóki nie weźmie lsd.

Prawda? Następnego dnia się do niego wprowadziłyśmy.

Mieszkaliśmy w Adams Morgan, niedaleko 16. ulicy. Na podwórzu śmieci wysypywały się z kontenerów. W piwnicy myszy przeskakiwały przez nasze stopy. Ktoś podarował Larry'emu pianino. Stało w korytarzu, czasem na nim grał. Dwie, trzy te same melodie. Kilka kroków od naszego mieszkania zebracy pluli jedzeniem. Pod oknem dużego pokoju parkowała kuchnia na kółkach z Christian

Home. Od czasu do czasu Larry schodził na dół i zapraszał do nas kogoś czekającego na jedzenie. Było mu obojętne, z kim wróci. Nam też.

Często stał z nami w kuchni. Gotowałyśmy, a on wypisywał kredą na tablicy słowa, których powinnyśmy się nauczyć. Słowa w stylu nikczemność albo kłopot, albo otarcie.

Układałyśmy z nimi zdania. Ione mówiła z hiszpańskim akcentem: Dzisiaj rano spadłam ze schodów. Mam otarcie.

Ja mówiłam: Czy wkrótce będzie jakiś kłopot? Albo: Czy mamy wystarczająco dużo czasu, żeby stracić naszą nikczemność? Larry śmiał się. Śmiał się na swój specyficzny sposób. Oskrzelowo, głęboko z dołu.

Larry kochał mężczyzn. Kiedy miał gości, brał krople na gardło. Mężczyźni przychodzili nocą, rano, w południe. Czasem kilku naraz. Siadałyśmy z Ione na kanapie w dużym pokoju. Przysłuchiwałyśmy się ich rozmowom i odgłosom dolatującym przez szyb wentylacyjny. Głośno powtarzałyśmy, co słyszemy. Naśladowałyśmy intonację.

Odczekiwałyśmy, aż Larry zacznie się żegnać i odprowadzi gościa do drzwi. Machałyśmy gościowi z kanapy. Ledwie wyszedł, Larry pytał nas: Jak myślicie, czy to dobry moment na Queen of Sheeba?

Kilka chwil później serwował w kuchni ciasto czekoladowe i sambucę z płonącymi ziarnami kawy. Tańczył wokół nas, nastawiał głośniejszy magnetofon, wydzieraliśmy się, niezależnie od tego, co leciało. Larry uwielbiał Carpentersów, już choćby dlatego, że wokalistka umarła na anoreksję. Skakaliśmy po kuchni. Larry chwycił łyżkę do zupy jak mikrofon i zarzucał sobie na ramiona kołdrę ze sztucznego futra należącą do Ione. Ione stawiała na krześle, żeby znaleźć się na wysokości jego oczu. Podnosił jej rękę.

Okręcała się. Jej długie włosy szybowały - Wyglądała jak cyrkówka. Larry zdejmował okulary, pocierał nos. Potem stawiał mnie na stole. Zeskakiwałam. Wdrapywałam się z powrotem. Znowu zeskakiwałam. Ione chwyciła mnie za ramiona. Wirowałyśmy. Larry klaskał. Przychodziła sąsiadka, żeby się poskarżyć, a Larry za każdym razem spławiał ją z lubością: Sądziła, że są supermenami, a teraz tylko my nimi jesteśmy. Nastawiał głośniejszą muzykę. Zjadałyśmy z Ione przynajmniej po trzy kawałki Queen of

Sheeba. Larry pochłaniał resztę.

Miałam pokój na poddaszu. Książki Andrew Vachssa na podłodze zostawił mój poprzednik. Moje ubrania wisały na oparciu krzesła. Z okna mogłam zajrzeć do łazienki sąsiadki. Często siadywałam przy nim, przyglądając się niezauważona, jak w świetle słońca wrywa pęsetą włoski z brody. Jak zdejmuje przed lustrem ubrania, układa wysoko włosy, maluje usta. Ione miała rozkładane łóżko piętro niżej, między kuchnią a korytarzem. Obok niego na taborecie stały farby do włosów i kosmetyki do makijażu. Do ściany przypięła szpilką zdjęcie mężczyzny o bardzo krótkich włosach. To na niego patrzyła, leżąc w łóżku na plecach.

Larry mieszkał na dwunastu metrach w piwnicy. Było tam ciemno. Często przychodził do mnie na poddasze. Słyszając jego stękanie, wiedziałam, że za chwilę stanie przede mną, podzieli na małym lusterku koks i rozdrobni go starą kartą Visa. Będzie się przy tym śmiał: Hej, wyobrazasz sobie, że kiedyś miałem kartę kredytową? W rekordowym czasie przepuścił trzydzieści tysięcy dolarów. Potem kartę zablokowali. Larry wciągał koks przez banknot i oznajmiał: Vachss jest, nawiasem mówiąc, idiotą. Schodziliśmy na dół do Ione. Nie przeszkadzało nam, że chciała być sama. Siadaliśmy na rozkładanym łóżku, Larry zabierał

Ione książkę, którą czytała. Czas na questions and answers, mówił. Kiedy widzę kogoś, kto coś przeżywa, przeżywam to wtedy także? Larry powtarzał pytanie tak długo, aż brakowało nam odpowiedzi, a Ione zasypiała. Potem zsuwaliśmy się z łóżka na podłogę, tam, gdzie Ione chowała papierosy, i paliliśmy.

Wolno nam było korzystać z łazienki także wówczas, gdy

Larry brał prysznic. Ione farbowała włosy. Ja wyskubywałam brwi. Larry opowiadał historyjki. Odsuwał zasłonkę i pytał: Jak mają się nazywać? Chciałyśmy opowieści, które nazywały się Wtedy albo Wczoraj, albo Wcześniej. To akurat

Larry opuszczał. Wiedziałyśmy o nim tyle co nic. Historię o trzydziestu tysiącach dolarów. Że studiował w Iowa. Że pracował w Bibliotece Kongresu. Że nagrywał tam kasety dla niewidomych. Tego byłyśmy nawet stosunkowo pewne.

Od czasu do czasu załatwiał Ione jakąś pracę. Czytała po hiszpańsku przepisy kulinarne i instrukcje ćwiczeń gimnastycznych. Za dziesięć dolarów na godzinę. Kiedy Larry zacinał się, opowiadając, podrzucałyśmy mu hasła. To zdarzało się rzadko. Najczęściej mówił jednym ciągiem. Nawet jeśli z prysznicza przestawała lecieć woda, stał i opowiadał.

Ione siadała na desce klozetowej, czerwona farba spływała jej po skroniach, po szyi, wsiąkała w szlafrok od Kmart.

Dopiero po chwili docierało do mnie, jak mocno zaciskam palce na brzegu umywalki. Bolały. Często w ogóle nie rozumiałyśmy, co Larry mówił. Ale coś było w jego głosie. Coś, co przypominało mi dawne czasy.

Mieliśmy mało pieniędzy. Ione pożyczala ode mnie, ja od Larry'ego. Larry włóczył się z nami po domach towarowych. U Nordstroma podprowadzał dla nas pomadki do ust. Czasem nawet cygara dla Ione. Chadzaliśmy do sklepu za jednego dolara, kupowaliśmy szczotki i inne rzeczy.

Czasem Larry miał talony żywnościowe. Nie wiedziałam, jak je załatwia. Ione sądziła, że zna kogoś w urzędzie socjalnym. Mogliśmy wtedy wydać dwadzieścia, trzydzieści dolarów. Larry wysyłał nas z wózkiem na zakupy, każdemu wolno było wziąć towaru za

jedną trzecią pieniędzy, co tylko chciał. Wkładałam do wózka marshmallows. Larry wracał z mrożoną pizzą. Ione brała rozpuszczalną cappuccino z aromatem pomarańczowym. Latem, w szczególnie gorące dni, godzinami jeździliśmy autobusem, bo było w nim przyjemnie chłodno. Wyjeżdżaliśmy z miasta, potem wracaliśmy. Wsiadaliśmy na opuszczonych skrzyżowaniach i patrzyliśmy na ciągi kamienic wzdłuż ulic, które napędzały mi stracha. Było ich wiele. Z samochodami bez kół przy krawężniku. Z zakratowanymi liquor stores. Z rozdeptanymi puszkami po piwie na chodniku.

Spędziliśmy razem Boże Narodzenie. Larry gotował i piekł. Godzinami. Zawiązał na brzuchu fartuch z napisem: R U sure? W lokalnym radiu puszczała cliche piosenki. Larry nucił wszystkie. Przeprowadzali wywiady ze

Świętym Mikołajem, z żeńskim chórem z parafii baptystów. Larry zagniatał ciasto i chłonał każde słowo. Jako przerywnik leciał Frank Sinatra i Nat King Cole. Larry znał wszystkie teksty. Have yourself a merry little Christmas, let your heart be li-i-i-gh-t, śpiewał, a my dziwiłyśmy się, że można z nim obchodzić Boże Narodzenie.

Udekorowaliśmy dom. Nad barkiem zrobionym z położonego na boku kawałka szafy zawiesiliśmy łańcuch. Był różowy, migał i kosztował tylko dolara. Ione wycięła aniołki bożonarodzeniowe ze starych gazet. Ja zebrałam wszystkie świece i postawiłam je w oknie. Larry zapalił pochodnie obok schodów wejściowych. Wchodził po stopniach, zatrzymywał się i pytał: Dlaczego zapomina się o tym w lecie?

Nie pamięta się o zimie - dlaczego tak jest? Ione filmowała nas swoją małą kamerą. Przy nakrywaniu do stołu, śpiewaniu, jedzeniu, aż Larry powiedział: Przestań.

Kiedy później zaczęło sypać, poszliśmy na długi spacer po cichym, białym mieście. Zajrzeliśmy do chłopaków z Xing-Cuba, żeby życzyć im wesołych świąt. Łomotaliśmy w zamknięte drzwi i opuszczone rolety. Larry wrzeszczał.

Vidi Vidal otworzył, objął nas, wciągnął do środka i zamknął za nami. Kelnerzy, podkuchenni i barmani siedzieli przy zsuniętych razem stołach. Palily się świece. Ktoś grał na pianinie. Vidi Vidal dał nam coś do picia. Larry stanął u szczytu stołu i zaczął śpiewać. Było mu obojętne, czy inni mają ochotę go słuchać. Śpiewał z całych sił. Kolędy, piosenki pop, wszystko, co przyszło mu do głowy. Wycisnął z siebie nawet Ave Maria. Chłopcy wykrzykiwali swoje życzenia. Clark rzucał w niego kwiatami ze stołu, posyłał całusy. Kilku wstało i zaczęło tańczyć. Clark wziął mnie za rękę i zatańczył ze mną coś w rodzaju walca. Coś w rodzaju wolnego walca. Przycisnął policzek do mojego policzka i zapytał, czy sądzę, że to możliwe, bym pocałowała go w przyszłym roku. Tak, odparłam, sądzę, że to możliwe.

W drodze powrotnej Larry cicho nucił. Wzięliśmy go z Ione pod rękę. Zatrzymywaliśmy się w ogródkach i zaglądaliśmy do salonów. Przyglądaliśmy się, jak ludzie napełniają kieliszki. Jak razem jedzą. Staliśmy przytuleni.

Bez ruchu. Nikt nas nie zauważył. Larry szepnął: Czasem śnieg całkiem zasypuje Waszyngton. Przez Georgetown poszliśmy nad rzekę. Zaglądając do ciemnych sklepów, mijając zamknięte knajpy. Po wodzie pływały kawałki lodu.

Larry wziął z Xing-Cuba trzy kieliszki i butelkę tequili.

Nalał do pełna. Tequila spływała nam po rękawiczkach.

Pijana Ione lizała zamsz. Przy każdej kolejce wypowiadaliśmy życzenie i opróżnialiśmy kieliszki jednym haustem.

My z Ione życzyliśmy sobie pieniędzy, zdrowia, pracy i angażu do filmu. Larry wczesnej śmierci. Ja, Larry Hill, popołudniami, z bezkofeinową kawą?

Ione zbiegła do rzeki, podnosiła kamienie i rzucała je najdalej, jak mogła. Wydawało się, że to jedyny odgłos.

Wpadające do rzeki kamienie. Od czasu do czasu górą, ulicą, przejeżdżał samochód. Wtedy na twarz Larryego padało trochę światła, a ja mogłam lepiej zobaczyć jego oczy. Ione wróciła do nas. Z trzema małymi kamieniami w dłoniach, upuściła je przed nami w śnieg. Patrzyliśmy na nie przez chwilę. Potem pobiegliśmy do centrum handlowego, do małego toru lodowego, który postawiono przed kilkoma tygodniami. Przeleźliśmy przez sztachety. Ślizgaliśmy się.

Wywracali. Ione rozłożyła ramiona, zrobiła kilka niezdarnych kroków, upadła i nie podniosła się. Śmiała się głośno, a ja widziałam, jak jej oddech wiruje w powietrzu. Larry odepchnął się od sztachet, spróbował się obrócić w kółko.

Wyglądał jak niedźwiedź. Jak tańczący niedźwiedź. Śmiał się tym swoim oskrzelowym śmiechem, potykając się, przeszedł na drugą stronę toru i zatrzymał się. Nad nim migotał napis Merry Christmas, ze spalonym C i T. Krzyknął, że znał kogoś, kto podczas jazdy na łyżwach stracił wszystkie palce. W czasach szkolnych, dziewczyna, Claire albo jakoś tak, może Helen, niebrzydka, ale po tym wypadku, no cóż, wiecie, bez palców, co się z nią stało - nie mam pojęcia.

Ione wzięła mnie za rękę. Przetkańczyliśmy, ciasno objęte, na drugą stronę. Ione przyciskała mnie, swój lodowaty policzek do mojego. Wydawało mi się, że czuję, jak bije jej serce.

Larry uroczyście przekazał mi małą czerwoną paczuszkę z białą wstążką. W niej breloczek do kluczy w kształcie

Lincoln Memorial. Ione zaproponował, że się z nią ożeni.

Wykrzyknęła radośnie: Dostaniemy lodówkę, dostaniemy pralkę. Świętowaliśmy Boże Narodzenie. Świętowaliśmy oświadczyń Larryego. Nową lodówkę. Ślizgaliśmy się po lodzie. Ja z moim breloczkiem w ręku.

Larry wydawał poets parties. Raz w miesiącu. Zapraszał wszystkich, którzy kiedykolwiek cokolwiek napisali, a w dzień pracowali jako roznosiciele gazet albo hostessy.

Kobiety o miedzianych włosach. Mężczyzn w okularach z grubymi szklami. I tych, co wciągali koks w Xing-Cuba.

Najbardziej lubiłam Clarka. Pochodził z Nowego Jorku i pisał rzeczy, których nie dało się czytać. Powiedział mi, że utknął przy Nietzschem i nie może posunąć się dalej. Kiedy się śmiał, wyglądał, jakby go coś bolało. Całą noc siedział na schodach i rozdzielał koks. Podawał mi lusterko za każdym razem, kiedy przechodziłam. Ktoś puszczał Boba Dylana.

Psy skakały po kuchni, zlizując z ziemi resztki pizzy. Ione biegała z kamerą i filmowała. Ja stałam za domowym barem, serwując brązową tequilę. Palłam i śmiałam się ze wszystkiego. Nad moją głową Vidi Vidal pokazywał swoje filmy wideo. Wisiał na łańcuchach. Uwalniał się z pęt w basenie z wodą. Tarzał się w zwierzęcej krwi. Larry kochał te filmy.

Kiedy wszyscy wyszli, siadaliśmy z Ione i Larrym na tarasie. Przy każdej pogodzie, o każdej porze roku. Larry przynosił kolejkę sambuki i wygłaszał swój nowy wiersz.

Stał przed nami, patrząc w dół. Jego głos brzmiał inaczej niż zwykle. Tak, jakby w pobliżu coś się oderwało, jakby coś go wystraszyło. Jego wiersze były dla nas za trudne.

Rozumiałyśmy takie słowa jak róża i aksamitny. Nawet kość skroniowa. Ale co to była próba snu? Czekaliśmy, aż pierwszy obcy przejdzie obok naszego domu do autobusu.

Dopiero wtedy kładliśmy się spać. Larry wrzeszczał w korytarzu: Night, girls! Najnowszy wiersz wciskał mi w dłoń.

Razem z Ione tłumaczyłyśmy go i rozszyfrowywały przez kolejne dni. Zajmowałyśmy się nim, dopóki nie nauczyłyśmy się go na pamięć. Nie rozumiejąc.

Prawie nie było dni, kiedyśmy się nie widzieli. W zimie jeździliśmy do muzeów. Najchętniej, gdy padało. Larry wychodził na ulicę, wołał taksówkę i machał do nas. Na każdym drzwiach tłustymi literami wypisane było „No smoking, please”. Larry pytał, czy może zapalić. Nie, mówił kierowca. Naprawdę nie? Kierowca kręcił głową, a Larry już wpuszczał do środka zimne powietrze i zapalał papierosa. Jeździliśmy do National Gallery. Larry przebiegał przez pomieszczenia jak ktoś, komu się spieszy. Zgadywałyśmy tytuły



obrazów, kto był bliżej, wygrywał. Ione i Larry kłócili się, czy bliższe słowu dom jest słowo kuchnia czy duży pokój. Albo rzeka bliższa wodzie od morza.

Zbieraliśmy punkty. Ten, kto przegrywał, płacił rachunek w kawiarni. Trzy cherry coke z lodem w czerwonych papierowych kubkach. Stukaliśmy się i mówiliśmy: America, we love you. Larry z ironią. Jeśli chodzi o Ione i mnie, nie byłam tego taka pewna. Ione rolowała r w słowie Amerrrica.

A przed paroma dniami tańczyliśmy w rytm Go West Pet

Shop Boys jak głupie. Larry śmiał się swoim oskrzelowym śmiechem. Powiedział, że jesteśmy najlepszym, co mu się przydarzyło. Siedział obok mnie. Pachniał niemowlęciem.

Po raz pierwszy zwróciłam na to uwagę.

Kiedy Larry był w odpowiednim nastroju, kończyliśmy dzień naszym wariantem show & tell. Larry grał kapitana.

Odkrywał przed nami domowe tajemnice, lufciki w dachu i schody. Chodziłyśmy za nim po zapuszczonych stopniach, trzeszczących i drżących pod jego ciężarem. Chciałem pokazać wam stąd niebo, mówił, otwierając małe okienko, przez które wysuwaliśmy głowy. Właśnie tak.

Od czasu do czasu Larry pożyczał od kolegi starego forda. Przy śniadaniu machał nam przed nosem kluczykami, przynosił nasze płaszcze, przelewał resztkę kawy do plastikowych kubków i pokazywał miejsce w samochodzie, gdzie można je było postawić. Raz zawiózł nas do Baltimore.

Siedzieliśmy z Jone z tyłu, piłyśmy kawę, wstawiałyśmy kubki w uchwyty i wyjmowałyśmy je. Głośno liczyłyśmy shopping malls. Było ich dwadzieścia jeden. W Baltimore wzięliśmy wodną taksówkę, pływaliśmy wzdłuż stoczni i magazynów. Byliśmy jedynymi, którzy siedzieli na zewnątrz. Zimnym oddechem próbowaliśmy wypisywać w powietrzu słowa. Larry rzucał na wodę okruchy chleba.

Kilka mew kłóciło się. Wsiedliśmy tam, gdzie oprócz nas nie wysiadł nikt. Patrzono za nami. Larry pomachał. Snuliśmy się po opuszczonych portach, a Larry wymyślał dla nas historie. O polskich imigrantach. O wielkich statkach.

Baltimore pachniało rdzą. Rybą. Wodą.

W drodze powrotnej słuchaliśmy 10000 Maniacs.

Wydzieraliśmy się w ulubionych miejscach. Hey, Jack

Kerou-a-a-ac, I think of your mo-o-o-th-e-e-er!, krzyczał

Larry. A my z Jone odpowiadałyśmy. Allen, b-a-b-y-y-y, why so j-ea-lou-ou-s? Gapiliśmy się w światła reflektorów.

Mocno padało. Larry nie chciał jechać dalej. Zatrzymaliśmy się w restauracji i usiedliśmy przy małym stoliku pod oknem. Kelnerka spojrzała znad okularów, długo odczytywała menu dnia i zapisała wszystko w grubym notatniku.

Za ostatnie dolary zamówiliśmy hamburgery. Wyjeliśmy stare owoce z kieszeni kurtek. Nikt nam nie przeszkadzał, Jone gniotła wilgotne włosy. Larry rozłożył swój przemoczony płaszcz na kaloryferze. A ja miałam wrażenie, że wiem, jak wygląda kolor czerwony.

Pewnego razu Larry przyprowadził Tima. Wydaje mi się, że to było wiosną. Włosy Tima zdawały się pozbawione koloru, a skóra przezroczysta. Nie miał rąk, tylko rączki.

Przy Larrym wyglądał jak ktoś z variete. Jak ktoś, kogo wyrzuca się w powietrze i łapie. To jest Tim, powiedział Larry, a jego głos zabrzmiał jak nigdy do tej pory. Ione odłożyła książkę, ja moje rysunki. Tim podszedł do nas. Podał nam obydwu rękę i za każdym razem powiedział: Timothy, hello, miło cię poznać. Larry stał w drzwiach i się nam przyglądał. Wiedziałam, że nie pozbedziemy się Tima.

Tim kupił kapę na sofę, postawił w oknie cięte kwiaty.

Nie wydawał odgłosów. Nie słyszało się go, gdy znikał w łazience. Nie słyszało się, gdy był w pokoju Larry ego.

Niemal nie było słyhać, kiedy mówił. Zbierał artykuły o Marilyn Monroe. Miał wiele albumów, którymi nas zanudzał. Spędzał całe dni na przeglądaniu gazet, wycinaniu doniesień i wklejaniu ich. Wieczorami siadywał na naszej sofie i w milczeniu przeglądał swoje zbiory. Pochodził z Nowego Orleanu. Ktoś tak mało ekscytujący mógł pochodzić z Nowego Orleanu! To było dla mnie nowe.

Pewnego razu, kiedy zbudziłam się wcześniej rano, zastałam Tima w kuchni, przeglądał moje rysunki. Och, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, powiedział przepraszająco.

Przeszkadzało mi. Tim zrobił dla wszystkich rozpuszczalną cappuccino należącą do Ione. Założył, że tego chcemy. Larry wstał. Usłyszałam, jak wchodzi po schodach. Przystanął w drzwiach, wyciągnął masywne ramiona i głośno ziewnął.

Miał na sobie niebieski szlafrok i wyglądał jak bokser. Jak bokser w okularach. Uśmiechnął się. Świat należał do niego i do Tima. Tim też do niego należał.

Tim sprzątał kuchnię, gdy Larry gotował. Robił dla nas zakupy. Zmywał podłogę. Tim miał pieniądze. Jego ojciec co miesiąc przelewał mu na konto większą sumę. Ione sądziła, że mieli umowę. Ojciec płaci, Tim nie wraca do domu, wytłumaczyła. Od czasu do czasu ktoś dzwonił, nie podając swojego nazwiska. Byłam pewna, że to jego ojciec.

Tim mówił wówczas spokojniej niż zwykle. Jakby musiał coś ukryć. Nie można powiedzieć, że go nie lubiliśmy.

Było w nim coś wzruszającego. Chciałyśmy tylko, żeby sobie poszedł.

Został. Z rzadka opuszczał dom. Z nami nie wychodził prawie nigdy. Larry'emu zdawało się to nie przeszkadzać.

Kochałyśmy z Ione te chwile. Nazywałyśmy je potajemnie timfree moments, jak wytworzone czekoladki. Łaziliśmy po mieście, tak jak robiliśmy to wcześniej. Kiedyś poszliśmy do chłopaków z Xing-Cuba, zdziwiłam się, że nie spytali, co się dzieje z Larrym. Mnie wydawało się, jak gdyby coś stracił. Clark wyszedł z kuchni i stanął z nami przy barze. Rozłupywał ostrygi. Miał brudny fartuch. Na dłoniach drobne zranienia. Powiedziałam mu, że musi nosić ochronne rękawice. Kilka tygodni wcześniej rysowałam go. Siedział w słońcu na naszej werandzie. Wiedziałałam, że powiesił mój rysunek w kuchni Xing-Cuba. Nad barem z ostrygami. Clark zapalił z nami, objął nas. Powiedział, że jest szczęśliwy, bo nie musi już mieszkać w Nowym Jorku.

Tu z każdej ulicy widać niebo.

Larry dostał swoje narkotyki. Coś wpadło także Ione i mnie. Snuliśmy się M-Street, kopiąc puste puszki. Larry miał na sobie jasny zamszowy płaszcz i czarną wełnianą czapkę. Wyglądał tak, że ludzie się za nami oglądali. Co rusz robiliśmy przerwę na jakiejś ławce. Larry siadał, stękając, wygrzebywał notatnik, patrzył na nas długo, a potem coś zapisywał. W pewnym momencie pojawi się to w jednym z jego wierszy. Kiedy się ściemniło, kupiliśmy „New

Yorkera” i poszliśmy do Afterwords przy Dupont Circle.

Larry zamówił dla nas trzy latte, otworzył „New Yorkera” i głośno odczytał opowiadanie. Ione zlizywała pianę z łyżeczki, dopytywała się o to, czego nie zrozumiała. Larry znajdował synonimy. Tworzył zdania z nowymi słowami.

Jeśli Ione wciąż nie pojmowała, coraz prostsze. Timfree moments stały się rzadsze. I nawet jeśli się zdarzały, Tim w jakiś sposób był obecny.

Nie rozumiałam, co tak zachwyciło Larry ego w Timie.

Mnie od tego podziwu robiło się niedobrze. Od jego wielkich oczu, którymi na nas patrzył. Na przyjęciach Larry ego wyglądał na zagubionego. Nie znał bólu, miłości na podłodze w kuchni. Chłopaki z Xing-Cuba peszyli go. Kiedy do nas przychodzili, usuwał się. Gdy tańczyliśmy i śpiewali, siedział na sofie i przyglądał się. Uśmiechając się jak dobrze wychowany chłopiec. Jest taki nieruszony, powiedziała

Ione. Nie byłam pewna, czy znalazła właściwe słowo. Ale powtórzyłam: Tak, nieruszony.

Zaczęłam spotykać się z Clarkiem, Ione kręciła filmy, za które nie dostawała pieniędzy. Nocami siadywałam z nią w kuchni. Odczytywałyśmy zdania wypisane przez

Larry ego na tablicy. To były zdania w stylu: Świat składa się z dwóch księżyców, które kręcą się wokół siebie. Albo: Dlaczego akurat tego wieczora? Ja też chciałabym to wiedzieć.

Ione pytała mnie do rana: Dlaczego akurat tego wieczora?

Odpowiadałam: Też chciałabym to wiedzieć.

Wybrałam się do znajomych w Nowym Jorku, autobusem z dworca kolejowego. Przyszłam za wcześnie. Snułam się po dworcowej hali, po sklepach, przeglądałam komiksy, chodziłam wzdłuż torów, patrzyłam na tablice z nazwami miejscowości i godzinami odjazdów. Było zimno. Podróżni czekali na pociąg, rozcierali dłonie, wydychali w powietrze ciepłe oddechy. Stałam w tłumie zatopiona w książce.

Chwilę później zauważyłam, że ludzie do siebie szepczą.

Podniosłam głowę. Mój wzrok padł na Larry'ego i Tima.

Stali na przeciwległym peronie. Zawołałam Larry'ego, ale szybko zamilkłam.

Larry wrzeszczał i biegał wokół Tima. Położył rękę na jego ramieniu, Tim strącił ją, spojrzał na swoją kurtkę, jakby się ubrudziła. Odwrócił się plecami i odszedł w dół peronu, trzema, czterema szybkimi, potem trzema, czterema wolnymi krokami, jakby chciał w ten sposób wyhamować Larry ego i pozbyć się go w ten sposób. Larry wyminął go, stanął przed nim, poruszył swoimi wielkimi rękami, Tim na niego nie patrzył, jakby go nie widział, jak gdyby w ogóle go nie było. Nadjechał pociąg. Larry chwycił dwie wielkie torby i kiedy Tim otworzył drzwi, cisnął nimi o ziemię. Krzyczał. Słyszałam urywki słów. Pasażerowie czekający na peronie odwrócili się, odeszli kilka metrów, odwrócili się znowu. Wyglądało to trochę tak, jakby chcieli tych dwóch okrążyć. Larry pobiegł do następnego wagonu, zostawiając Tima samego. Nie wyglądał już jak tańczący niedźwiedź. W ogóle nawet nie przypominał niedźwiedzia.

Zadzwoiłam do Ione z Nowego Jorku i opowiedziałam, co się wydarzyło. Spytałam, czy jest Larry i jak się ma.

Nie, nie ma go od paru dni. Obydwu ich nie ma. Pewnie wyjechali. Larry nie pojechał tym pociągiem. Na pewno nie, odparłam. Dlaczego go nie zawołałaś, spytała Ione.

Milczałam. Co miałabym powiedzieć? Ione odparła zmęczona: No i co? Krzyczał. Co to znaczy? Nazwał go szmatą?

Proszę bardzo. Może jest szmata. Pomyślałam o świecie składającym się z dwóch księżyców. Tak, może. Zamilkłam. Po chwili Ione spytała głośno: Co wiesz o Timie?

Zabrzmiało to jak wyrzut. Odwrzasnęłam: A co ty wiesz o Larrym?

Wróciłam z Nowego Jorku wcześniej, niż planowałam.

W niedzielę, typową waszyngtońską niedzielę. Bez alarmów pożarowych. Bez syren. Bez głosów dolatujących z ulicy. Wieczorem lekko padało. Nie było widać księżyca.

Clark przyszedł do mnie na poddasze. Patrzyliśmy z łóżka na ciemne niebo i paliliśmy jointy. Ione była na zdjęciach na wybrzeżu. Larry jeszcze nie wrócił. Clark zasnął.

Jego dłoń leżała na moim brzuchu, głowa na moim ramieniu. Kręciło mi się w głowie od palenia, ze strachu.

Wsluchiwałam się w otaczające mnie dźwięki i gapiłam się w ciemność. Chciałam, żeby na dole trzasnęły drzwi.

Po dwóch tygodniach zadzwoniłam na policję. Funkcjonariuszowi wyjaśniłam, że mojego współlokatora nie ma w domu od dłuższego czasu i że mnie to martwi. Sprawiał wrażenie znudzonego. Czy mam jakiś inny adres?

Przyjaciół? Rodziny? Nie miałam. Nawet nazwiska jakiegoś kolegi? Nie. Co miałam powiedzieć? Że mieszkaliśmy ze sobą od ponad roku, ale nie wiedzieliśmy o sobie tych rzeczy? Kiedy i gdzie widziałam Larry ego ostatni raz?

Opowiedziałam. Zaśmiał się i nazwał mnie Missie. Powinam się uspokoić i nie przesadzać. Mówił coś o tv dinner i głowach wkładanych później do piekarnika. O spojrzeniu, niewłaściwym spojrzeniu, które czasami wystarcza. Odłożyłam słuchawkę.

Pewnego dnia Larry wrócił. Późno w nocy usłyszałam, jak ktoś otwiera drzwi. Ione spała obok mnie. Chwyciłam ją za ramię. Larry wrócił, powiedziałam. Nawet nie otworzyła oczu. Dobrze, mruknęła i spała dalej. Słyszałam, że był sam. Poszedł do kuchni, a ja zsunęłam się po schodach.

Zobaczyłam go z ostatniego stopnia. Siedział na krześle w świetle neonówki, z nogą założoną na nogę. Miał na sobie zamszowy płaszcz, powoli wypuszczał dym przez nos. Nie śmiałam się odezwać. Siedział nieruchomo, a ja stałam tylko po to, żeby na niego patrzeć. Nie wiem, jak długo stałam, jak długo Larry siedział w świetle neonówki.

W pewnej chwili odwróciłam się i wyszłam po schodach.

Wiedziałam, że mnie zauważył.

Ione zrobiła dla nas rano śniadanie. Larry był już w kuchni. W niebieskim szlafroku. Pocałowałam go w policzek. Ione opowiadała o zdjęciach, o ustawicznym deszczu na wybrzeżu i spieniała mleko. Usiadłam naprzeciwko

Larry'ego i spytałam: Gdzie byłeś? Co się stało? Nie odezwał się, nie podniósł na mnie wzroku, Ione zamachała za jego plecami. Mam się zamknąć. Prawie nic nie mówił.

Raz na mnie popatrzył. Było w tym coś fałszywego. Pomyślałam o policjancie.

W tych dniach Larry najczęściej siedział na sofie przed telewizorem. Czasem słyszałam go w nocy. Stał pod prysznicem i długo lał wodę. Potem siadał na schodkach do mojego pokoju, woda z jego mokrych włosów skapywała na podłogę. Słyszałam to. Plask. Plask. Przedpołudnia spędzał w kuchni. Każdego ranka na moich oczach połykał garść tabletek, popijając je czarną kawą. Przestałem pić rozpuszczalną cappuccino, wyjaśnił. Najchętniej powiedziałabym: Wszystkiego zaprzestałeś, Larry, wszystkiego.

Ale odparłam tylko: Tak, widzę. Uśmiechnął się. Zebrałam się na odwagę i zapytałam: Larry, co z Timem? Kto to jest

Tim? zapytał.

Ione pożyczyła samochód i pojechałyśmy z Larrym bez celu na północ. Puściła Carpentersów, Larry cicho śpiewał.

Siedziałam obok niego i wyglądałam przez okno. Kilka dni wcześniej spadł śnieg. Na skraju drogi leżały teraz szare resztki. Ione skręciła z głównej szosy i zatrzymała się w nowym osiedlu. Z błotnistymi drogami i wytyczonymi ogródkami. Wskoczyliśmy z samochodu. Mały pies wybiegł nam na przeciw. Larry długo go głaskał. Przyszła jakaś dziewczyna i, klnąc, wzięła psa na smycz. Przeszliśmy kawałek w dół drogi, przystanęliśmy na skrzyżowaniu.

Ione filmowała nas.

Obok nas zatrzymał się czerwony pick up z dużą ilością naklejek. W samochodzie siedziała para młodych ludzi. Kobieta otwarła okno i powiedziała: Kogoś państwo szukacie? Niełatwo się tutaj odnaleźć. No tak, w pewien sposób wszystko wygląda tak samo, prawda? Zaśmiała się. Dziękuję, nie, chcieliśmy się tylko rozejrzeć, odpowiedziała Ione. Wprowadzacie się tu państwo? spytał mężczyzna za kierownicą. Tak, może, odparłam. Zmierzyli mnie wzrokiem. Larry włączył się: Wicie państwo, w zasadzie szukamy pewnego Tima. Nie mogłam uwierzyć, że to powiedział.

Tima, jak? dopytywała kobieta. Odwróciła się do męża i zapytała: Znasz jakiegoś Tima? Nie, nie znam, nie, żadnego

Tima, nie, więc nie na naszej ulicy. O ile wiem, żaden Tim tu nie mieszka. Ale poczekaj, niech się zastanowię, obok

Mancinsów mieszka przecież ten... Nie, nie, to nie Tim.

Na pewno nie, przerwała mu żona. Więc Tim, tak? spytał mężczyzna z niedowierzaniem. Tak, całą pewnością Tim, odparł Larry. Tak, Tim, powtórzyła kobieta. Przykro mi, że nie możemy państwu pomóc. Właściwie znamy tu wszystkich. Wiecie państwo, mieszkamy tu już od jakiegoś czasu. No tak, ale Tim... Przykro nam, naprawdę. Zaciśnęła usta. Larry słuchał jej uważnie. Szturczał mnie w bok, za każdym razem, kiedy wypowiadali to imię. Ale musi tutaj mieszkać, upierał się, a Ione skierowała na niego kamerę. Tim, Tim, Tim, powiedział mężczyzna, jakby musiał wygrzebać kogoś z pamięci i gapił się na Larryego, znam jednego Tima. Wprowadził się niedawno. Tam, z przodu.

Uniesionym podbródkiem wskazał koniec ulicy. Wpadłam mu w słowo. Jest bardzo mały. I bardzo blady. I kocha

Marilyn Monroe, powiedziałam z taką złością, że obydwójce spojrzeli na mnie przerażeni. Zgadza się, powiedział cicho Larry. Mały i blady. Mały i blady. Nie pamiętam, ile razy to powtórzył.

Kiedy Larry siedział na dole na sofie, przynosiłam koce i otulałam jego ramiona, żeby go ogrzać. Parzyłam kawę, gdy tylko miał na to ochotę. Ione spytała go o przepis na

Queen of Sheeba, chciała je dla niego upiec. Larry przestał mówić. Kiedy ktoś do niego dzwonił, kręcił głową. Czasem stał na tarasie i wrzeszczał na przechodzących ludzi. Żeby się uspokoić, szłam na poddasze i słuchałam Doris Day.

Od czasu do czasu chodził z nami do muzeum. Ale już nie graliśmy. W kawiarni zamawialiśmy trzy cherry coke w papierowych kubkach i stukaliśmy się. Nie pamiętam, za co piliśmy. Zaczęło mnie to denerwować. To, że tak siedzi i się nie rusza. Że nie słucha muzyki. Wciąż w milczeniu koks. Jak na mnie patrzy, kiedy mu coś opowiadałam.

Opuścił nas jesienią. Dokładnie pamiętam. Dzień, pogodę, nagłówki gazet. Siedziałam na tarasie, po raz pierwszy tego roku zdjęłam buty i rajstopy i oparłam boscie stopy na udach Jone. Jone paliła cygaro, była w swoich grubych ciemnych okularach. Rysowałam jej twarz na kawałku kartonu. Jone wydmuchała dym i powiedziała mimochodem: Sądzę, że Larry zniknął. Nie podniosłam wzroku.

Co masz na myśli? Larry zniknął? Nie słyszałam go dzisiaj rano. Nie ma go, wytłumaczyła Jone. Oderwałam wzrok od rysunku. Nie ma? Tak. Telewizor też zniknął. Wziął go. Wstałam i zajrzałam przez okno do dużego pokoju.

Naprawdę zniknął? Spytałam jeszcze raz, usłyszałam, że mój głos drży.

Zeszliśmy po schodach do piwnicy. Po raz pierwszy weszliśmy do pokoju Larryego. Na podłodze leżał wąski materac, obok przewracane puste butelki i puszki po piwie,

popielniczka i niedopałki. Jedyne regały były niemal puste. Zostawił kilka komiksów i książkę o Robercie Franku.

Poza tym śmieci. Zmięte papiery, starą bieliznę, próbkę

West Light. Na ścianie plakat z kolekcji Phillipsa. Na którym ktoś napisał: A słowa? Jone odkryła list. Hallo, girls, oszedłem, a wy to zauważyłyście. Jak długo to trwało?

Słowa zapisane dużym pismem. Żegnał się. Przez kilka stron. Stwierdził, że spojrzenie na płonącą świecę w lustrze nie boli, pisał. Albo jakoś podobnie. Że będzie mu brak wspólnego brania kokainy i śpiewów. I nas.

Tima zobaczyłam jeszcze raz. Spotkałam go przypadkowo na Dupont Circle, poszliśmy na latte do Afterwords.

Nie mogę powiedzieć, że bym się ucieszyła z tego spotkania. Nie udawałam, że tak jest. Larryego nie było. A tu siedział Tim. Błady, mały Tim. O czym miałam z nim rozmawiać? Zapłacił za moją kawę, a ja nawet przez chwilę nie pomyślałam, żeby spytać go o Larry'ego. O pociąg. O dwa księżyce.

Breloczek do kluczy od Larry'ego wciąż jeszcze ze sobą noszę. Tak tylko. Bez kluczy. Od czasu do czasu go dotykam. Żeby się upewnić, że tam jest. I one jeszcze raz usłyszała o Larrym. Że mieszka u przyjaciół w Annapolis. Że ma w piwnicy mały pokój. Że nie chcą od niego czynszu.

Ja nie zobaczyłam go nigdy więcej.



## LAS BOŻONARODZENIOWY

Chce odebrać Sylvie z lotniska rano, tuż przed siódmą czasu lokalnego. Uważa, że to dziwne, mówić: czas lokalny, a Sylvie śmieje się z lekka do słuchawki, żeby zrobić jej przyjemność. Myśli o drzwiach na lotnisku, jak się powoli rozsuwają, otwierają z odgłosem, który nie jest odgłosem, o tablicach informacyjnych, o bladożółtym świetle nad szarą guzelkową podłogą, nad którą komunikaty z głośników ścigają się w tę i z powrotem, w górę i w dół, do ruchomych schodów, którymi trzeba pojechać, zanim za zielonymi drzwiami wsiądzie się do samochodu, żeby chwilę później zgubić się w sieci ulic i mostów. I o zapachu, o tym lotniskowym zapachu, który czuć tylko tutaj. Na innych lotniskach pachnie inaczej.

Sylvie ląduje dwudziestego czwartego. Nie udało jej się zarezerwować żadnego innego lotu, za długo się wahała, za długo czekała, nie wiedząc, czy powinna polecieć, czy też dalej leżeć na łóżku, żeby nie być zmuszoną do wyjścia, na zimno, do budek z pieczonymi kasztanami i Mikołajów, z którymi ludzie się fotografują, a zdjęcie wysyłają jako pocztówkę. W tych ostatnich dniach co rusz biegła do Empire

State Building, mijając tłumy ludzi kupujących prezenty na

Fifth Avenue, wsiadała do windy jadącej na taras widokowy, z turystami, którymi gardzi, odkąd jest stypendystką New

School z maleńkim pokojem w East Village, w którym stoi tylko wąskie łóżko i biurko po poprzednim lokatorze i który miesięcznie kosztuje majątek. Każdego dnia marzła, mimo czapki, szalika i płaszcza, nie wiedziała, dlaczego odwiedza właśnie to miejsce, jak setki innych, ustawiających się na tle kraty i machających do aparatów, podczas gdy wiatr targa ich kurtkami i kapturami, i co takiego jest w patrzeniu z góry na miasto przypominające gigantyczny cmentarz, gdzie groby stoją o wiele za blisko siebie.

Chce się pozbyć Lei, tyle rozumiała, to słowo pozbyć się prześladowało ją od wielu dni, tygodni i nie opuściło, ale nie znalazła lepszego, łagodniejszego. Chciała się pozbyć

Lei, bez żadnego faktycznego powodu, w każdym razie takiego, który potrafiłaby nazwać i który mogliby zrozumieć inni, przyjęła to stypendium, jakby nie mogła się jej pozbyć w swoim mieście, jakby potrzebowała całego oceanu, żeby je oddzielił, trzymając Leę z daleka.

Nadaje bagaż. Kobieta w okienku życzy happy holidays, nie podnosząc wzroku. Osiem godzin lotu. Nie ma nic do czytania. Odchylił się siedzenie i będzie się gapiła w sufit kabiny, będzie się wsłuchiwała w burczenie i myślała o tym, od czego się powoli oddala,

teraz, kiedy z dwiema reklamówkami w rękach idzie korytarzem wzdłuż wielkich okien, za którymi czekają samoloty, mijając sztuczne choinki i fotele w kolorze lila.

Zastanawia się, dlaczego wybrała na powrót Boże Narodzenie. Akurat koniec roku, skupiający wszystko jak w soczewce. Dlaczego właśnie teraz musi siedzieć w samolocie, z dwiema reklamówkami, w nich czapka ze sztucznego futerka wiązana pod brodą, z napisem New York, pasujące do niej rękawiczki z jednym palcem, które można prać w pralce automatycznej, kurtka puchowa w rozmiarze XS, granatowa, zawinięta u Macy's w błyszczący czerwony papier na stole do pakowania prezentów. Mało śpi, może trzy godziny. Budzi ją zapach samolotowej kawy i bułek, pobrzękiwanie wózka z napojami. Trzyma czapkę w rękach i nie wie, skąd ją wzięła.

Lea jak zwykle się spóźnia. Sylvie stoi z walizką, nad nią terkoczą tablice informacyjne, w cosekundowym rytmie donoszą o kolejnych lądujących samolotach. Siódma czterdzieści trzy czasu lokalnego. Opiera się o ścianę obok aparatu telefonicznego, patrzy na wózek na bagaże, na podłogę, mokrą i błyszczącą po ostatnim myciu. Ktoś podsuwa jej pod oczy gazetę. Podnosi wzrok, to Lea. Lea ze swoim noskiem jak u lalki, z wąskimi ramionami i małymi stopami. Lea, która przytula nosk jak u lalki do jej szyi, głośno wciąga powietrze i mówi: proszę, możesz przeczytać, dzisiaj wieczorem będzie padał śnieg. Wskazuje palcem na nagłówek i pyta: cieszysz się, a Sylvie mówi: tak, oczywiście, oczywiście, że się cieszę.

Jadą autostradą, w górze samoloty nadlatują z południa, nad lasem miejskim i stadionem z reflektorami przy wejściu. Sylvie przeciera ręką szybę. Dzisiaj nie zrobi się jaśniej. Ponieważ prawie się nie odzywa, Lea pyta: jesteś zmęczona, a Sylvie odpowiada: tak, i szybko zamyka oczy, jakby musiała dać dowód.

Nie musisz się o nic martwić, wszystko jest, mówi Lea, kiedy parkuje, a potem jadą windą na szóste piętro, gdzie

Sylvie otwiera drzwi balkonowe, żeby spojrzeć na podwórze, werandy i tarasy na dachach, ustrojone teraz światelkami, łańcuchami i gałązkami choinki.

Lea mieszka na ostatnim piętrze, z widokiem na wieżę z czerwonej cegły, wyglądającą, jakby brakowało jej kopuły, i na to niebo, w które może patrzeć wieczorami przez całe godziny, nie nudząc się. Uspokajają, powiedziała, kiedy stało się jasne, że nie będzie mieszkała z Sylvie, i kiedy wprowadziła się tu sama, także to, że drzwi ciężko się otwierają, także to ją uspokaja, i domofon z ekranem, na którym widać wejście i każdego, kto przed nim stoi.

Lea rzuca klucze na sofę, zdejmuje buty, siada, pociera małe dłonie, siąka nos, który zrobił się czerwony od tych kilku kroków na mrozie. Mówi, że na kuchence stoi karp, zjemy

go później, później, w nocy, kiedy wrócimy z dworu, mokre i zmarznięte na kość. Poczekajmy, mówi, aż się ściemni, aż zacnie sypać, wskazuje obydwoma rękami na miejsce obok siebie, żeby Sylvie przy niej usiadła, a potem czekają, wyglądając na podwórze, przez okno, do którego

Lea przykleiła bożonarodzeniowe anioły z papieru, dziesięć, dwadzieścia aniołów w czerwonych filcowych sukienkach, z otwartymi okrągłymi ustami i złożonymi dłońmi. Sylvie co chwilę wstaje, robi kilka kroków wzdłuż okna, ze strachu, że zaśnie, leżąc na sofie Lei, a Lea będzie na nią patrzyła. Jest pewna, że coś w jej śnie, sam sposób, w jaki leży, zdradzi ją.

Później oznajmia: Chcę zobaczyć śnieg, dwudziestego czwartego, rozumiesz, śnieg. Nie tylko za oknem, ale też na choinkach, chcę zobaczyć choinki w śniegu. Lea odpowiada: dobrze, będziesz miała śnieg na choinkach, tak szybko, jakby czekała, że Sylvie właśnie tego sobie zażyczy.

Z szafy wyciąga dla Sylvie o wiele za duży kozuch, bez pytania otwiera }t) walizkę, wyjmuje kozaki i spodnie, wkłada do reklamówki butelkę koniaku, do kieszeni kurtki wsuwa flet. Jadą samochodem w górę, tam, gdzie zaczyna się las, mijając ostatnie domy z oświetlonymi oknami, udekorowanymi drzwiami, wiankami z jedliny, czerwonymi wstążkami i bombkami, i dalej, mimo znaków zakazu, przez cichy las, w którym dziś, w którym teraz poza nimi nie ma nikogo. Zostawiają samochód, bo tylko się ślizga po jedno-, dwucentymetrowej warstwie śniegu. Musiał spać w ostatnich godzinach.

Wchodzą w las i Lea pyta cicho: Naprawdę chcesz? Ma na sobie rękawiczki przywiezione przez Sylvie, puchową kurtkę w rozmiarze xs i tak za dużą, rękawiczek prawie nie widać z rękawów. Co trzy, cztery kroki poprawia czapkę ze sztucznego futerka z napisem New York, bo się zsuwa, mimo zawiązanych pod brodą tasiemek. Idzie pierwsza, schodzi ze ścieżki w gęstwinę, przełazi przez pnie drzew, depcze liście, gałęzie i mech. Idzie tak, jak chodzi latem, kiedy nie ma na sobie grubej kurtki i ciężkich butów, tylko lekką sukienkę i buty, których nie trzeba wiązać, tak jak chodziła ostatniego lata, kiedy Sylvie jeszcze tu była i po raz pierwszy pomyślała wtedy, że to jest wytrenowane, długo ćwiczone, ten sposób chodzenia. Mimo ciemności, Sylvie widzi oddech Lei. Widzi, jak oddycha w zimnym powietrzu, w tym lesie.

Lea zatrzymuje się, wyjmuje z reklamówki koniak, upija łyk, ociera usta rękawiczką, trochę się krzywi, jakby się brzydziła. Podaje Sylvie butelkę, bądź cicho, szepcze. Nie rozmawiają, oddychają bezgłośnie. Słyszą tylko puchową kurtkę, która trzeszczy, chociaż Lea się nie rusza, i to Sylvie irytuje ten odgłos, irytuje ją nagle tak, jak wiele, zbyt wiele innych

rzeczy w Lei, także to, że w samochodzie za każdym razem na nowo ustawia lusterko i siedzenie, chociaż nikt inny nim nie jeździ, nawet to ją irytuje, nawet jej listy, które

Lea pisała każdego dnia po trochu i wysyłała co tydzień, żeby Sylvie niczego nie przegapiła, nawet to ją irytowało, i to, że każdy, komu o tym mówiła, pytał dlaczego.

Pójdziemy, jak coś usłyszymy, szepcze Lea i Sylvie doskonale wie, jak teraz wygląda, bo zawsze wygląda tak samo, gdy proponuje coś, o czym sądzi, że inni by na to nie wpadli.

A potem grają w tę grę, mimo zimna, mimo zmęczenia, czekają, aż coś się poruszy, piją łyk, ruszają, idą, dopóki

Lea nie da znaku, nie podniesie prawej ręki w tej grubej rękawiczce, zatrzymują się, nasłuchują i znów czekają. Zapominają o czasie. Sylvie nie może powiedzieć, czy chodzą tak kilka minut, czy też kilka godzin, ale jest pewna, że kręcą się w kółko. Już dawno powinny były dotrzeć do następnej drogi, ścieżki, przecinki. Boisz się? pyta Lea, i Sylvie odpowiada: nie, jestem za bardzo pijana, zbyt zmęczona.

Wspinają się na ambonę. Lea przytrzymuje się mokrego drewna poręczy, ale zsuwa się, stopień po stopniu uderzając o nie z głuchym łoskotem, aż do ziemi, jakby nie miała siły stawiać stóp, zatrzymać spadania. Leży, przewraca się na brzuch, wciska pięści pod brodę i śmieje się głośnym, czystym, dziecięcym śmiechem, w tę ciszę, w tę gęstwinę z gałęzi, szyszek i igieł. Później siedzi obok Sylvie, na dwóch deskach wyszarpujących w ubraniu dziury, trzy, może cztery metry nad ziemią. Położyła głowę na ramieniu Sylvie. Pachnie koniakiem. Sylvie mówi: Lea, twoja głowa jest za ciężka, przestań, podnieś ją, ale Lea śpi. Teraz, nagle, tu, śpi. Na tej ambonie, pod tym niebem, które nie wiadomo kiedy zrobiło się białozółte, Sylvie nie wie, czy zabarwiły je światła lotniska, miasta czy też padający znów śnieg, teraz, gdy Lea zasnęła z głową na jej ramieniu.

Płatki śniegu osadzają się na nowej czapce Lei, na jej kurtce i teraz, kiedy jej głowa leży na ramieniu Sylvie, ręka na nodze, Sylvie przypomina sobie, jak pierwszy raz poszły nad morze, niedaleko stąd, tam, gdzie można usłyszeć startujące samoloty, tego gorącego lata, dawno temu, i jak lekko się czuła, niemal nieważko, patrząc na migoczącą zieleń z kilkoma białymi plamami, na fale i żagle. Przypomina sobie, jak Lea śmiała się w wodzie, za pomostami, przy bojach, dziecięcym śmiechem, głośnym, szybkim, zadyszany, który wtedy się jej jeszcze podobał, i jak leżała obok niej z tymi długimi, mokrymi włosami, i że piasek we włosach w ogóle jej nie przeszkadzał.

Sylvie patrzy na śnieg, sypie teraz mocniej, głuszy każdy odgłos, nawet to, co jeszcze przed chwilą słyszały. Mówi:

Lea, nie zamierzam wracać. Mówi to, bo musi i dopiero teraz może, teraz, kiedy wie, że Lea jej nie słyszy, że śpi. Sylvie mówi powoli, jakby prędkość mogła coś zmienić. To nie był dobry pomysł, spędzać tu Wigilię z tobą, powinnam była zadzwonić, skłamać, że odwołali loty z powodu pogody, z powodu burzy, która przyniosła za dużo śniegu, powinnam była coś wymyślić. I teraz, kiedy wreszcie to wypowiada, nie może sobie przypomnieć, dlaczego tego nie zrobiła, dlaczego nie zrobiła tego wszystkiego, dlaczego siedzi tu obok pijanej Lei, w Wigilię, na ambonie w miejskim lesie.

Lea budzi się, zdejmuje rękawiczki, kładzie je na kolanach Sylvie i zaczyna grać na flecie. Przykłada zziębnięte palce do otworów, nie musi patrzeć. Gra Miętko pada śnieg, potem przeciągnięte, zniekształcone Choinko, choinko, a Sylvie śpiewa cicho, z pauzami, bo brakuje jej tekstu, tu, w tym lesie, o którym Lea sądzi, że żyją w nim sarny i jelenie, i dziki, chociaż nigdy żadnych nie widziała, między skrzyżowaniami autostrady i przecinkami dla samolotów.

W drodze powrotnej Lea nie przestaje grać. Nie odejmuje fletu od ust ani razu i Sylvie zastanawia się, jak to możliwe, iść w ciemnościach i grać na flecie, nie patrząc, nie wydając jednego fałszywego tonu. Nieproszona zaczyna opowiadać historię bożonarodzeniową, którą Lea zna prawie na pamięć, ale chce słuchać jej w wykonaniu

Sylvie co roku, zaczyna więc: w lesie rosła piękna choinka, w dobrym miejscu, miała słońce i wystarczająco dużo powietrza, a wokół o wiele większe drzewa, jodły i sosny. Lea odejmuje flet od ust, chwyta ją za rękę i Sylvie wie, jak teraz patrzy, nie musi jej widzieć. Lea ścisną jej dłoń, zimną mimo rękawiczek, mimo koniaku, a ona opowiada tak, jak zawsze opowiada każdą historię, ale tak się zawzięła, żeby rosnąć, że nie myślała ani o ciepłym słońcu, ani o świeżym powietrzu.

Stoją przy samochodzie. Las je wypuścił, chociaż Sylvie sądziła, że tego nie zrobi aż do chwili, kiedy rano będzie jaśniej. Mają mokre buty, mokre nogi. Lea mówi, że nie pojedzie ani metra, nie z połową butelki koniaku we krwi, i Sylvie odpowiada: Dobrze, wrócimy na piechotę, ale okrążną drogą, zygzakiem. Idą, niewiele mówią, idą powoli, wzdłuż ogrodów, pustymi ulicami, nad rzekę. Wiatr targa mostami.

Idą wąskimi nadbrzeżnymi łąkami pokrytymi śniegiem, zostawiają pierwsze ślady. Sylvie przygląda się Lei zataczającej koła, trochę jak więźniarka wypuszczona w południe na spacer, i teraz ta zapadająca się raz po raz w śniegu

Lea wydaje jej się odległa, nieosiągalnie odległa, chociaż dzieli je raptem dziesięć, dwadzieścia kroków. Na marginesie, Lea, mówi Sylvie z trochę zbyt długą pauzą między na marginesie a Lea, tonem, który jej głos przybiera w takich momentach i który Lea zna już od

dawna. Lea, chciałam ci powiedzieć, ale Lea przerywa jej, potrząsa głową, czapka jej się przekręca, przytyka do ust zwinięte w lejek dłonie w grubych rękawiczkach, jakby Sylvie nie stała o dziesięć, dwadzieścia kroków, jakby jej głos musiał pokonać dużą odległość. Krzyczy: nie powtarzaj tego, odwraca się, biegnie, poprawia czapkę, swoją o wiele za dużą czapkę wybraną przez Sylvie wczoraj, w wielkim pośpiechu, zanim zamkną sklepy, przymierzoną na jej prośbę przez sprzedawczynię, bo wydała jej się mniej więcej taka jak Lea, wczoraj, kiedy nie wiedziała, czy wsiądzie do tego samolotu.

Lea zbiega łąką, potem brukowaną ulicą do mostu, nie odwraca się. Sylvie idzie za nią powoli. Woła: Lea, poczekaj, ale to nie jest prawdziwe wołanie, jest za ciche. Mogłaby się teraz zatrzymać, odwrócić i odejść, wrócić przez te wąskie nadbrzeżne łąki, zniknąć na najbliższej ulicy, za najbliższym murem. Ale decyduje się iść dalej, nawet szybciej, jakby musiała się spieszyć, jakby Lea mogła ją zgubić, po stopniach na most i dalej, aż dogania Leę w połowie drogi nad rzeką, wysoko w górze.

Lea odwraca głowę, waha się przez mgnienie oka, potem klęka, opuszcza głowę, opiera ją o balustradę, otwiera ramiona, obejmuje balaski, patrzy między nimi na wodę, która zdaje się płynąć wolniej, teraz, kiedy wiatr nagle ucichł, a potem powtarza cicho: Nie chcę tego słyszeć.

Mówi do wody, jakby nie dotyczyło to Sylvie, tylko rzeki, jakby musiała rozmawiać z wodą, nie z Sylvie, jakby mogła ją wykluczyć. Sylvie siada przy niej, patrzy na fale, czarne w świetle padającym z mostu, z nadbrzeżnych ulic.

Intercontinental rzuca światło bożonarodzeniowego drzewka. Lea patrzy w górę, na betonową fasadę z jasnymi oknami zaznaczającymi kształt choinki. Wstaje z niewidzącym spojrzeniem, przeciąga rękami po puchowej kurtce i przez moment Sylvie sądzi, że chce ją zdjąć, i czapkę, i rękawiczki, że chce je wrzucić do wody i odejść, pokazać jej, że nie marznie, nie marznie bez kurtki i czapki.

Sylvie czeka, ale po chwili Lea znowu siada, przysuwa się do niej, opiera się o balustradę, zwiesza nogi, uderza głową w balaski, a potem miękko opierają na ramieniu Sylvie.

Gdzieś biją dzwony.

## KOGUTY

Stoi za blokadą, za czerwono-białą taśmą rozciągniętą wokół placu kilka godzin temu. Ma rozpuszczone włosy, rozpięty kołnierzyk, jasny płaszcz jest zabrudzony, zwisa, odsłaniając jedno ramię, ale to jej nie przeszkadza, w ogóle nie zwraca na to uwagi. Ma mokre buty. Nasiąkały deszczem przez wiele godzin, kiedy chodziła po kałużach.

Dopiero teraz się przetarło. Niebo nagle wydaje się lżejsze, deszcz przestał padać na dachy stojących wokół samochodów. O wiele za głośny łoskot ustał. Do ludzi zatrzymujących się przy blokadzie, żeby zapytać, co się stało, dlaczego rozciągnęli taśmę, dlaczego nikt nie wychodzi z warsztatu, z kasy, krzyczy załamującym się głosem: On nie żyje nie żyje. Powtarza te słowa dwa razy, na jednym oddechu, bez pauzy, jakby musiała powtarzać, jak gdyby tylko tak się dało: nie żyje nie żyje.

Julia jeszcze nie płakała. Ani jednej łzy, odkąd przyszła tu przed południem, jak każdego ranka po odprowadzeniu dzieci. Jak zwykle szła do pracy okrężną drogą, żeby zajrzeć do warsztatu męża, żeby mu pokazać: muszę zaraz iść, ale teraz jestem, na minutę albo dwie. Martwiłby się, byłby niespokojny, gdyby raz nie przyszła, gdyby poszła inną drogą, zapomniała, a nawet gdyby po prostu się spóźniła.

Spojrzałby na zegarek, odłożył klucze i lampy, podszedł do szklanych drzwi z rysą, zrobił kilka powolnych kroków wzdłuż dystrybutorów, wyglądałby, dopóki by się nie pojawiła za samochodami obok wjazdu, dopóki nie nadeszłyby drobnymi, szybkimi kroczkami, w butach na płaskim obcasie, w rozwianym płaszczu i nie podniosła ręki, żeby mu pomachać, pokazać, jestem, jestem. Brakowałoby im tej jednej, dwóch minut spędzanych razem każdego ranka, kiedy nie robili nic innego poza patrzeniem na siebie i rozmową o rzeczach, które od dawna już wiedzieli, które już dawno omówili, może dlatego, że to była jedna, dwie minuty dnia, które mogły zamknąć coś, co w przeciwnym razie pozostałoby otwarte.

Dziś rano Julię zatrzymała policja, kiedy zbliżała się w butach na płaskim obcasie, wolniej niż zwykle, bo nad placem, nad dystrybutorami, nad kasą i białymi kafelkami warsztatu obracało się to drgające niebieskie światło, jak jaskrawe ostrzeżenie. Próbowali zapobiec, żeby nie weszła za szklane drzwi, do warsztatu, zatrzymać ją z dala od zmarłego. Ktoś podał koc, którego nie chciała wziąć. Ktoś położył jej rękę na ramieniu, żeby zmusić ją do odejścia od tych drzwi, od tej szyby z rysą dzielącej ją od męża.

Ale Julia nie dała się odprowadzić. Została, nie odwróciła wzroku. Dopiero później, kiedy ustał deszcz, który przemoczył jej buty, odeszła za taśmę, przez kałuże, krzycząc, on nie żyje nie żyje.

Ewa pojawiła się dopiero w południe, kilka godzin po tym, jak policjanci rozpoczęli śledztwo, poszukiwania zaczynając od jej domu, po którym rozejrzeli się, nie wyłączając garażu ani piwnicy. Nie bała się, nie była zdziwiona, kiedy stanęli przed jej drzwiami i zapytali o męża. Pokazała im tych kilka pokoi, szaf, szuflad w takim tempie, jakby chciała szybko mieć za sobą coś, o czym wiedziała, że się wydarzy. Po mężu nie było śladu ani w mieszkaniu, ani w domku na działce, którą dzierżawili od miasta, między polami i łąkami, za wysokim płotem, przy którym Ewa zatrzymała się, podczas gdy policjanci biegali po trawie, a ona słyszała tylko dyszenie psów, żadnych krzyków czy komend. W tej chwili nagle przypomniała sobie letnie dni spędzone tu przed laty, kiedy dzieci Julii nie umiały jeszcze chodzić, a Ewa pilnowała, żeby nie wpełzły w róże. Pomyślała o Julii. O tym, jak stała przed domkiem w jasnoczerwonym kostiumie kąpielowym opinającym płaski brzuch, z tym wzrokiem, który sprawia, że wygląda, jakby na coś czekała. O tym, jak jej mąż opryskał ją wodą z ogrodowego węża, a potem okrył ręcznikiem kąpielowym, podczas gdy mąż Julii drzemał na ławce w cieniu, leżąc na boku z podkurczonymi nogami, w rozpiętych sandałach.

Ewa przychodzi około dwunastej, jak co dzień, kiedy przejmuje kasę, zakłada okulary na długim łańcuszku, liczy pieniądze, wypłaca pomocnicy, która za każdym razem szybko się żegna, ponieważ Ewa prawie na nią nie patrzy. Zdawkowo odpowiada na pytania, jakby każde słowo to było dla niej za dużo. Rozmawia z Julią, wymieniają tylko kilka zdań. Jej krzyk usłyszała, wjeżdżając w ulicę.

Zaparkowała samochód, zapomniała wyjąć kluczyki, zamknąć drzwi. Podbiegła do blokady, mijając ludzi stojących na ulicy od wczesnego ranka, kiedy chcieli podjechać do dystrybutorów i kiedy powiedziano im: dzisiaj nie.

Staje przed szklanymi drzwiami. Zagląda przez szybę i natychmiast odwraca wzrok, szuka czegoś, na czym mogłaby go zatrzymać, między pojemnikami na śmieci, odkurzacami i urządzeniami do pomiaru ciśnienia. Policja nie wierzy w wypadek, chociaż tak to wygląda, przynajmniej dla Julii wygląda to na wypadek, roztrzaskana głowa, zmiążdżone ciało, które straż pożarna wyciągnęła wczesnym rankiem z kanału, usunąwszy najpierw motor i podnośnik, które przygniotły męża Julii tak, że widać było tylko jego stopy w ciężkich roboczych butach.

Ewa ciągnie opierającą się Julię do samochodu. Wiezie ją do domu, na tę ulicę pod wysokimi kasztanami, które późnym latem zbrązowiały i w ciągu jednej nocy straciły liście z



powodu robactwa, oblepiającego je każdego sierpnia, już od lat. Zatrzymuje się pod ścianą ze skrzynkami na listy, szyldami z nazwiskami i klamkami, patrzy za Julią, jak powoli wchodzi po schodach, na których leży paczka kolorowych reklam, nierozpakowanych z mokrej folii. Julia odwraca się, kręci głową, przystaje, jakby czekała na to, co zrobi Ewa, jakby sądziła, że jedno jej słowo, jeden gest sprawi, że nie będzie musiała otwierać drzwi, wchodzić do windy i do mieszkania.

Ewa jedzie do szkoły. Odbiera córki Julii, których nie dziwi, że to ona, a nie ich matka, nie zadają żadnych pytań, zdejmują tornistry, rzucają je na siedzenie, rozpuszczają włosy i zaczynają bawić się kosmykami. Ewa przygotowała wyjaśnienia, gdyby pytały, dlaczego nie ma matki, ale nie pytają i przychodzi jej do głowy, że nie po raz pierwszy odbiera je ktoś inny, że Julia nie zawsze była tu w południe, może dlatego, że miała inne zajęcia. Raz po raz patrzy w lusterko, przez całą drogę, gdy tylko może, wybiera objazdy, boczne ulice, małe kręte zaułki, żeby dać Julii czas na zdjęcie mokrych butów, zabrudzonych rajstop, płaszcza, czas na przeciągnięcie palcami po kancie stołu, obiciach, poduszkach, ramach obrazów, żeby mogła potem stanąć przy oknie i wyrzucić, spojrzeć w niebo, które na tym piętrze, wysoko, musi się wydawać bardzo bliskie.

Dziewczynki rzucają torby i kurtki na podłogę. Wzrok

Ewy mówi: nie, nie zdradziłam się, niczego nie podejrzewają. Julia, która nie zdjęła jeszcze płaszcza ani rajstop i butów, patrzy na nią niewidzącymi oczami, jakby nie było nikogo, ani jej, ani dziewczynek, jakby nie rzuciły jak co dzień tornistrów na podłogę, z głośnym cześć, jak co dzień, tak głośno, że słychać je w sąsiednich mieszkaniach.

Julia nic nie mówi dzieciom. Nie powie im nic także w następnych dniach, tygodniach. Nie znajdzie słów, którymi mogłaby powiedzieć to, co musi. Coś wymyśli. Może

Ewa jej w tym pomoże, może przyjdzie jej do głowy coś, co mogłoby pasować, coś, w co mogłyby uwierzyć bez wątpliwości. Julia sądzi, że Ewa to potrafi. Od dzisiejszego południa, odkąd rozmawiały pod kogutami, odkąd odwiozła ją do domu, odczekała przy drzwiach i patrzyła za nią wzrokiem, który Julia zobaczyła po raz pierwszy.

Ugotowała makaron. Udało jej się wziąć garnek i napełnić go wodą. Zabroniła sobie płakać, ze strachu, że nie mogłaby przestać. Woda wrze, pokrywka podskakuje. Para osiada na małym kuchennym oknie, z którego widać garaże z kolorowymi bramami i zaparkowane przed nimi samochody. Wzrok Julii gubi się między dachami samochodów i białymi strzałkami prowadzącymi do wyjazdu. Nie może poruszyć nogami. Będzie tu musiała zostać, przy tej kuchence, przy tym małym oknie. Ewa usiłuje ją przesunąć, targa za płaszczyk, żeby dać jej do zrozumienia: zdejmij go, inaczej zorientują się, że coś jest nie tak. Szuka sitka,

odcedza makaron do zlewu. Dziewczynki siedzą przy stole, kopią w nogi od krzeseł. Julia nie siada z nimi. Nawet się nie odwraca, mówi: nie jestem głodna, głosem, który brzmi tak, jakby musiała się bardzo natężyć, jakby połączenie tych słów w odpowiedniej kolejności, bezbłędnie, kosztowało ją wszystkie siły. Dzieci podnoszą głowy i Ewa myśli, że znają ten ton. Wiedzą, że czasem mama nie może nic przełknąć, tylko stoi przy oknie.

Ewa je z dziewczynkami. Jej wzrok wędruje po wszystkich tych niepotrzebnych przedmiotach, na które Julia nigdy nie mogła być sobie pozwolić. Kryształowe kieliszki za szybą, obok porcelanowa popielniczka, srebrna papierośnica, bezsensowne drobne przedmioty, które rzucają się teraz w oczy i które widziała już wcześniej, w swoim własnym mieszkaniu, w swoim domu, w szafie, w szufladzie, bo jej mąż nie znalazł dla nich lepszej skrytki, przedmioty, na które zwraca uwagę teraz, kiedy jest tu po raz pierwszy od lat i pyta dziewczynki o szkołę, o jedzenie, o zadania domowe, a one odpowiadają wysokimi, jasnymi, niemal jednakowymi głosikami. Ewa nie może pozbyć się myśli, że mąż Julii słyszał właśnie te głosy każdego ranka, każdego wieczora i że były czymś, do czego się mógł odwołać w każdej chwili, w dzień i w nocy, słyszał je, kiedy tylko chciał.

Pada deszcz. Wiatr ciska nim o szybę. Julia kładzie prawą rękę na oknie, jakby mogła dotknąć kropli, złapać je, zatrzymać, jakby nie było niczego, co oddziela jej dłoń od deszczu. Zostawia odcisk, ledwie widoczne ślady i rowki wzdłuż szyby. Dopiero teraz Ewa zwraca uwagę, że Julia ma siwe odrosty i jak ta siwizna nie chce pasować do jej twarzy, w której od razu można rozpoznać dziewczynki. Nigdy nie starała się o względy Julii, również wcześniej, kiedy jeszcze mogła to robić, rzadko mówiła jej dzień dobry, kiedy się widywały wczesnym wieczorem, przez minutę lub dwie, gdy Julia odbierała męża, a Ewa siedziała nad rachunkami albo układała jakieś rzeczy na regale, bo miała własny sposób układania rzeczy na regale, torebki i puszki, które sprzedawali, i nie chciała, żeby ktoś robił to za nią. Julia też nie zaprzętała sobie nią zbytnio głowy, może dlatego, że

Julia w ogóle niewieloma rzeczami zaprzętała sobie głowę.

W te nieliczne wieczory, które razem spędzały, bo było jakieś święto, myśli Julii nie posunęły się dalej poza to, co

Ewa miała na sobie albo jak była uczesana. Ale wiedziała, że Ewa walczy ze swoim mężem o każdy centymetr tego asfaltu, nad którym kręciły się dziś niebieskie koguty, że nie rozmawiają całymi dniami, tygodniami, że na siebie nie patrzą, kiedy to drugie mówi, i że Ewa wieczorem rzuca klucz na stół, bierze płaszcz i wychodzi szybkim krokiem, bez słowa, chociaż przy kasie stoi jeszcze co najmniej trzech, czterech klientów.

Mężczyźni pracowali w warsztacie od wielu lat, w niebieskich spodniach, z narzędziami w kieszeniach, z brudnymi rękami i paznokciami, które po pracy długo szorowali pod bieżącą wodą, w letnie wieczory zamykali wcześniej, wyjmowali piwo z lodówki, siadali na dwóch krzesłach przed kasą i każdemu, kto chciał jeszcze podjechać do dystrybutora, pokazywali ruchem głowy: nie. Lubili się do czasu, kiedy Julia zaczęła przychodzić częściej i zostawać dłużej, także wtedy, gdy jej mąż był w drodze, kiedy jechał do Makro albo musiał zrobić rundę naprawionym samochodem, także wtedy zostawała w warsztacie z mężem Ewy, który odkładał narzędzia, wycierał ręce i zachowywał się, jakby Ewy nie było za kasą, jakby nie mogła zajrzeć do warsztatu przez okno. Pewnego dnia mąż Julii ich zobaczył i Ewa usłyszała głosy mężczyzn w warsztacie, chociaż siedziała w kasie za grubym szkłem, słyszała je jeszcze wiele dni później. Wkrótce się uspokoiło, może przyczyną były pieniądze, które mąż Ewy brał za nigdy nie wykonane usługi i z których zawsze coś wpadało mężowi Julii, a ona kupowała za nie ubrania dla dziewczynek, kiedy spacerowały po pobliskim centrum handlowym i oglądały wystawy.

Dzieci są w swoim pokoju, leżą na żółtej pościeli, w różowych rajstopach i spodniach, blisko siebie, na brzuchu, z pięściami pod brodą. Ich włosy się mieszają. Ewa niemal nie rozpoznaje, które włosy należą do którego dziecka. Dziewczynki patrzą na nią, jakby chciały zapytać: dlaczego nam nie mówisz. Ciszę przerywa tylko telewizor, dwaj zawodnicy suną w bobsleju jak strzały, dopingowani trąbieniem i krzykami widzów, w dole ekranu pomiar czasu, setne sekundy biegną szybciej, niż może uchwycić oko. Ewa sprząta talerze, wstawia je do zlewu, bierze łyżkę i robi nią ślady w brązowych resztkach klejących się do brzegów. Puszczą wodę, wkłada pod nią ręce. Gorąca woda nie sprawia bólu, prawie jej nie czuje, widzi tylko, jak skóra zmienia kolor, staje się czerwona. Pyta, czy mogą zostawić dziewczynki same. Julia kiwa głową. Nie wsiadają do windy. Idą po schodach za grubymi drzwiami, wzdłuż szybu, do którego mieszkańcy wrzucają śmieci spadające z grzechotem w dół, idą szybko, tak szybko, jakby mogły coś przegapić.

Ewa prowadzi samochód Julii. Wycieraczki suną po szybie. W schowku leżą papierosy męża Julii, okulary słoneczne, paczka gum owocowych, którą wziął poprzedniego wieczora. Koło radia przyklejona jest ramka ze zdjęciem dziewczynek, kiedy były małe, z czerwonymi kłami do włosów i warkoczami, głowy jedna przy drugiej, nad nimi napis „Wróć bezpiecznie do domu”. Ewa nie zatrzymuje się przy stacji benzynowej, mija ją powoli, żółtym tempem. Za nimi ktoś trąbi, miga światłami. Ewa kieruje samochód w najbliższą ulicę za blokadą, objeżdża blok, skręca, żeby znowu przejechać obok stacji, ciągle jeszcze tym samym tempem. Jeżdżą w kółko, dwadzieścia, może trzydzieści razy, pod koniec trochę

szybciej, niecierpliwiej, jakby miały nadzieję, że coś się wydarzy, ale nie dzieje się nic. Julia patrzy na warsztat, na szklaną szybę z rysą, jakby zapomniała już to, co zobaczyła. Później Ewa parkuje na ulicy tak, że nic nie widzą, ani ona, ani Julia, choćby nie wiadomo jak obracała głowę, starając się spojrzeć w tył.

Ewa odpina pas, odchyła siedzenie, sięga po gumy owocowe. Julia nie reaguje. Deszcz pada słabiej. Daleko za ostatnimi domami, tam, gdzie wznoszą się kominy i zaczynają pola, niebo właśnie błękitnieje.

## DELFINY

Kalbarri, 1 października. Zaczęły się poszukiwania delfinów. Widzieliśmy pierwsze z brzegu Oceanu Indyjskiego, gdzie dotarliśmy przed kilkoma dniami. Każdy, kto przyjeżdża w tę okolicę, staje wysoko na skałach i szuka delfinów i wielorybów. Czasem mamy szczęście, widać je gołym okiem, z wysokości stu metrów. Kiedy pojawiły się pierwsze wieloryby, powiedziałeś, że bezlitosny los nie dał ci skrzydeł, tylko położył na ramionach stufuntowy ciężar. Od wielu dni wieje nieprzychylny wiatr, nocami szarpie naszym vanem. Wędkarze, nurkowie, poszukiwacze wielorybów i delfiniści, jak ich nazywasz, spotykają się w pubie przy nadbrzeżnej drodze Kalbarri albo w budce z neonówkami, plastikowymi krzesłami, gdzie sprzedają rybę i frytki, i słodzoną kawę z lodówki.

Nad oceanem jest spokojnie. Wiatr wpada w korony palm i w twoje włosy, to wszystko. Nie wierzyliśmy, jadąc tu, że to Kalbarri w ogóle istnieje. Droga za Perth wije się przez ziemię pustynną i ubogą, wzdłuż jeziora, którego woda jest różowa, naprawdę różowa. Księżycowy krajobraz, wołałeś, kiedy nie wiedzieliśmy, dokąd dalej, bo wiatr zerwał znaki drogowe.

Chcieliśmy pojechać do Kalbarri, zostawić za sobą

Zwrotnik Raka, zobaczyć nadbrzeżne miasteczka na północ od Perth, inne plaże z wędkarzami, którzy godzinami stoją na wietrze bez ruchu, tylko szale trzepoczą wokół ich głów. Chcieliśmy zobaczyć, jak rozstawiają w nocy reflektory, żeby zwabić ryby. Tu, w Kalbarri, widok na ocean jest taki, że nigdy go nie zapomnimy. Siedzimy wieczorami nad wodą i wsłuchujemy się w bijące fale, a ty pytasz: czy widziałaś kiedykolwiek takie błękitne morze?

Monkey Mia, 8 października. Ślizgamy się po wodzie, katamaran tnie błękit. Nad naszymi głowami trzepoczą żagle. Żółwie kołyszą się na falach, dają się unosić na pancierzach. Dożyją co najmniej stu lat, patrzą na nas, jakby to wiedziały. Spalony słońcem kapitan stoi na dziobie, trzymając przy oczach lornetkę. Szuka delfinów. Ledwie je znajdzie, krzyczy: dolphins! pokazując na morze, a my rzucamy się do niego. Najpierw widzimy płetwy grzbietowe, uszkodzone w walce z rekinami, potem trzy, cztery delfiny obok siebie, zbliżają się. Skaczą, pokazują się nad wodą jak połyskujące półkole.

Wieczorem piasek błyszczący na czerwono, woda wygląda jak ołów. Wędkarze wypakowują puszkę z piwem, psy wskakują ze szczekaniem do wody, a ty się dziwisz, dlaczego nie było nas tu zawsze. W lagunie, nieco dalej na południe, wiatr znosi na plażę

pianę. Jakiś ojciec włóczy się z synem po wydmach. Mieszkają w dziupie bez okien. Widzieli delfiny, tu, na górze, z wydm. Przysiadamy się, tłumaczymy, że też ich szukamy, gapimy się na fale, czekamy.

Ojciec ma na przedramieniu tatuaż, pod nim skóra jak wygarbowana, wyjaśnia, że nie mogą spać, delfiny, bo rekiny czyhają. Drzemiamy w stanie spoczynku, badacze nazywają to meditating. Nocą w vanie mówisz: ja też jestem w wiecznym stanie półprzytomności, bez prawdziwego snu.

Camarvon, 12 października. Nie można tego nazwać miejscowością, to raptem szersza droga, po prawej i lewej stronie domy. Wchodzimy do pierwszej lepszej kawiarni, siadamy na tarasie, za oknami wentylatory, lodówki z zaparowaną szybą. Karaluchy wielkie na palec pełzają po drewnianych deskach, okrążają nas. Naciągasz skarpetki na dżinsy, zapinasz koszulę pod szyję. Ja podnoszę nogi, siadam na stopach. Staramy się nic nie upuścić, jemy pizzę tak szybko, jak się tylko da. Jeden karaluch wdrapał się na moją nogawkę, strząsam go z krzykiem. Zrywamy się, jeszcze raz patrzymy na podłogę z desek i odchodzimy. Piwo wypijemy w pubie. Na ścianach obrazy statków, wypreparowane ryby, żółte od tytoniowych wyziewów. Rybak przy barze opowiada o potyczce z rekinami, podciąga koszulę, opuszcza spodnie i pokazuje grube czerwone blizny na piersi, ramieniu i nogach.

Rankiem śniadanie na ulicy. Samochód policyjny jeździ tam i z powrotem. Kelnerka przegania grupę Aborygenów, jak tylko pojawiają się biali klienci. Ma za męża rybaka, który łapie żółwie, płacą mu dokładnie za tyle, ile złowi.

U Woolwortha ładujemy do pełna lodówkę: Do widzenia, Carnarvon.

Coral Bay, 15 października. Północno-zachodni przylądek, zachodnia część kraju. Kemping, centrum handlowe małego miasta i młodzież na quadach. Wypływamy w morze, turkus z koronami z piany. Towarzyszy nam szkoła delfinów. Kapitan mówi, że omawiają, rozważają kwestię, czy się z nami bawić, czy też płynąć dalej. Decydują się na zabawę, zostają chwilę przy łodzi, podnoszą głowy, popiskują. Kiedy odpływają, patrzymy za nimi długo, udajemy, że jeszcze je widzimy, chociaż już znikły. Wskakujemy do wody, szukamy mant, płaszczyk, które wyglądają jak ptaki, kiedy rozłożą skrzydła. Nad nami, pod nami ławice ciemnoniebieskich ryb, wśród nich żółw, wystarczy, że otworzy pysk, żeby się najeść.

Ningaloo Marine Park, 22 października. Jedziemy na północ, po lewej stronie wydmy i turkusowoniebieska woda, po prawej rumowiska jak na Marsie i kopce termitów. Szepczesz mi do ucha: święty krajobraz. Tak, mówię, i należy tylko do nas. O zmierzchu kangury skaczą przez drogę, zatrzymują się i gapią się na nas, tak jak my gapimy się na nie. Wysiadamy, biegniemy przez busz, na piasku ślady węży. Zanim się ściemni, parkujemy samochód na

małej plaży. Jak okiem sięgnąć nikogo, tylko my tuż nad wodą, przy falach. Bóg tam jest, mówię, i wskazuję na niebo.

Noc jest prawie bezdźwięczna. Może pieni się cicho.

Kangury skaczą, nie wydając żadnych odgłosów. Leżysz obok mnie, opowiadasz historie o piratach, o mężczyznach bez głowy, którzy szukają kobiety takiej jak ja, z takimi wargami na górze i na dole. Ciemność przełamuje kilka gwiazd. Trzy dni temu utknęłam vanem w jakimś wjeździe.

Dach się rozdarł, naprawiliśmy go taśmą klejącą ze sklepu dla wędkarzy. Zaczyna padać, nadciąga burza. Modlimy się, żeby taśma wytrzymała, a deszcz ustał. Kiedy grzmi, chwytasz mnie za rękę. Patrzymy na spadające na nasze głowy krople i czekamy na piorun, który zapali nasz samochód.

Rankiem jest wilgotno i ciepło. Ubrania, włosy kleją się do ciała. Morze chlupocze łagodnie i niebiesko. Jakiś dziup mija nas pędem. Śpiące dzieci na tylnym siedzeniu, kierowca macha do nas. Na tylnej szybie duża naklejka: Western

Australia. Home of the Dolphins. Nieco dalej, w Turquoise

Bay, kąpiemy się z pelikanami. W kapeluszach od słońca, koszulach i spodniach. Są tu rekiny? pytasz, a ja mówię: nieważne. Woda jest ciepła jak w wannie, jej błękit boli, kiedy zdejmujemy okulary słoneczne. Leżymy na plecach, wystawiamy czubki stóp z wody, fale kołyszą nas w tę i z powrotem. Śpiewasz i do taktu uderzasz w wodę płaską dłonią.

Tom Price, 24 października. Za przyładkiem, tylko kilka kilometrów w głąb lądu, zieje outback\*. Gnijące bydło na skraju drogi, ofiary wypadków samochodowych, ich smród wciąga do samochodu klimatyzacja. Góry z czerwonego kamienia. Gdy wysiadamy: muchy. Upał. Wilgoć. Kiedy sikamy na piasek, mocz natychmiast wsiąka. Czytasz: Tom

Price, bogate w rudy żelaza. Wyobrażam sobie miasto kopalni, spoconych mężczyzn i wypożyczalnię kaset wideo, pytam, czego tam szukamy. Za wjazdem do miejscowości znak: Tom Price, zwycięzca ogólnokrajowego konkursu na najczystsze miasto 1987. W parku toalety publiczne. Białe kakadu podrywają się do lotu, gdy tylko się zbliżamy.

Jemy w jedynej restauracji w mieście. Dwóch górników wychodzi, zostawiają nam wolny stolik. W oknach zasłony ułożone w poziome fałdy. Ultrafioletowe światło barwi nasze zęby. Siedzimy na czerwonych pluszowych sofach, szczerzymy do siebie zęby lśniące liliowo. Na kempingu pod neonówkami na nasze szczoteczki i mydło spadają mole i szarańcza. Krzyczysz i wybiegasz w noc.

Wczesnym rankiem jedziemy na północ do Hammersley

Range. Jeszcze jedno delfinowe miejsce, mówisz. W kapeluszach od słońca i mocnych butach idziemy do Circular Pool na końcu wąwozu: naturalny basen, do którego spływa woda. Wspinamy się z rozpostartymi ramionami na czerwone skały, zbyt gorące, żeby się ich przytrzymać.

Na brzegu zdejmujemy ubrania, wskakuję na główkę do wody, płynę na drugi brzeg, odrzucam głowę w tył i patrzę na niebo. Machasz do mnie niespokojnie, patrzysz w dół na mętną wodę i krzyczysz: pijawki. Nie robi to na mnie wrażenia, zanurzam się, parszkając, wyprostowana jak świeca, z palcami stóp w dół, z ramionami w górę. Nie fotografujemy tego wąwozu, następnego też nie, i kolejnego, bo co takiego widać na zdjęciu, pytasz.

Nocujemy na skrawku czerwonej ziemi. Leżymy na plecach, przez okienka vana patrzymy na korony drzew, na błyszczący księżyc, jedyne światło. Mówisz, że zapomniałeś, jak to jest: w domu, rano, kiedy melduje się dzień, tyka budzik. Czy ja to pamiętam: przeciągi i śnieg? Rankiem na drodze leży coś, co wygląda jak pień drzewa oderwany przez pustynny wiatr. Zmieniam stronę. Pień podnosi głowę. Smok ze sterczącym w górę grzebieniem z ostrych zębów. Święte zwierzę, mówisz, kiedy go mijamy.

Exmouth, 30 października. Uciekamy do Exmouth, to perła dla nurków po wschodniej stronie przylądka. Jak to by było, pytasz, wysłać listy ze stemplem z Exmouth, stąd do reszty świata? W supermarkecie ceramiczny delfin wypływa na nasze dłonie miętowe cukierki. Gdy dotknąć jego płetwy, popiskuje. Wynajmujemy dom i zamykamy się w nim. Włączamy klimatyzację, wstawiamy do lodówki wszystko, co mamy. Wkładasz szorty do zamrażalnika.

Opuszczamy dom tylko wieczorami. W pralni po drugiej stronie podwórza kołysze się sześć pralek. Suszarki przewracają pranie za szklanymi drzwiczkami. Drzewa eukaliptusowe szumią. Papugi skrzeczą. Dostajemy udaru słonecznego, gadamy bzdury, padamy na łóżko. Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna myśl. Czasem krajobraz jest tak monotony, że pytam cię, czy to tylko ta pustka tak nam się podoba, więc po prostu to, że nikogo nie ma, obojętnie, w jakim kierunku patrzymy? Kiedy dowiadujemy się, że co dwa lata Exmouth zmiata z powierzchni ziemi cyklon, oddajemy dom.

Port Hedland, 3 listopada. Wiele tygodni temu spakowaliśmy walizki, udając, że nie musimy wracać, jakbyśmy mogli znaleźć tu własne miejsce, dom, żeby zostać, i odkąd wylądowaliśmy w Perth, gramy w tę grę, ty i ja, jeździmy po miastach, po kraju, pokazujemy na domy i chatki, na plaże i zatoki i kręcimy głowami: znajdziemy coś lepszego.

Udajemy, że tak mogłoby być, jakby nie istniała ta o wiele za duża czarna walizka wystawiana nocą na zewnątrz, bo trzeba rozłożyć siedzenia, żeby zrobić z nich łóżko. Kiedy się budzimy, kiedy otwieramy drzwi od samochodu, wciąż tam stoi, jak ostrzeżenie.



Za nami tysiące kilometrów pustyni, z kopcami termitów, burzami piaskowymi, wyschniętymi korytami rzek.

Jedziemy w milczeniu do Port Hedland, wzdłuż nadmiernie wysokich słupów telegraficznych, gór soli, rur i ceglastoczerwonych wagonów, które wożą rudę żelaza z kopalń do portu. Sól wysycha w płytkiej wodzie po obu stronach drogi.

Port Hedland jest pokryte czerwonym pyłem z kopalń.

Ludzie wyróżniają się: białe podkolanówki, szorty w kolorze khaki, białe koszule z krótkim rękawem. Przy ulicy pawilony z blachy falistej na drewnianych palach. Szpital z dużymi balkonami. Ludzie z nogami w gipsie siedzą w cieniu. Ledwie dyszymy po wyjściu z samochodu, przeskakujemy od jednego cienia do drugiego, łapiemy powietrze, chwytamy się za serce jak chorzy.

Town Centre składa się z dwóch małych ulic, banki i sklepy. Uciekamy do klimatyzowanej kawiarni. Za barem dwie kobiety w kokach sprzedają panierowane, smażone jedzenie. Na ich t-shirtach tańczące delfiny, napisy w dymkach. Pijemy mrożoną kawę z papierowych kubków pod niebieskim jedzącym coś Neptunem. Pod oknem na ulicy siedzi Aborygenka z noworodkiem. Układa go niedelikatnie, jednym gwałtownym ruchem. Wygląda, jakby trzymała w ramionach martwe dziecko.

Jedziemy do centrum handlowego, siadamy na ławce między wyściełanymi meblami, kalendarzami ściennymi i chłodziarkami lemoniady. Czujemy, jak nasze głowy znów zaczynają myśleć, ciała powoli się ochładzają. Obok nas przechodzi robotnik z pobliskiej kopalni rudy żelaza, wygląda jak obtoczony w czerwonym kurzu, ma za krótkie spodnie, na kasku latarka. Idzie po wymytej, błyszczącej podłodze w brudnych butach roboczych. Nie zostawia śladów.

Eighty Mile Beach, 5 listopada. Jesteś rozczarowany, wyobrażałeś sobie pustynię, na której jest tylko piasek, nie spodziewałeś się miejsca, gdzie z uporem wciąż coś rośnie: drzewa, krzaki, chaszczki. Eighty Mile Beach to rząd otynkowanych na zielono domków. Jeden z nich natychmiast wynajmujemy. Na pustej plaży łapiemy powietrze, wyciągamy ramiona jak dwoje kosmonautów. Przed nami osiemdziesiąt mil białego piasku, przez który fale przeciągnęły głębokie rowki. Woda się cofnęła. Krzyczymy, śpiewamy, zbieramy muszle, piszemy po piasku stopami.

Patrzemy w dal. Gdzieś tam pływają delfiny.

Wieczorem to malowane tropikalne niebo, nie wiem, czy spoglądając w nie, powinnam płakać czy się śmiać. Stoisz przed domkiem z ognikiem papierosa, kury gdaczą, sąsiedzi siedzą przy ognisku płonącym w noc. Gekon trzyma się szklanych drzwi. Czytam ci

na głos w łóżku. Leżysz na plecach, masz zamknięte oczy, twoje włosy wiją się wokół głowy jak macki.

Rankiem opada nas mieszanina lekkości i przygnębienia, kiedy zasuwamy zamki i zapinamy torby. Prysznic nie ma sensu, już po kilku krokach spływamy potem. W małym sklepie koło recepcji kupuję worek lodu, wstawiam go do samochodu. Za dwie godziny się stopi.

Eco-Beach, 7 listopada. Nasz ostatni nocleg przed Broome, miasteczkiem, o którym sądzisz: to będzie to. W środku niczego zjeżdża się z autostrady. Otwieram bramę, nasza droga to czerwona ścieżka. Osły i krowy leżą w cieniu, podnoszą głowy, kiedy je mijamy. Znak drogowy nakazuje nam zostawić samochód. No cars allowed on Eco-Beach.

Mamy iść pieszo przy ponad czterdziestu stopniach. Wsiadamy, zakładamy kapelusze. Cisza i migotanie upału.

Nasze przekleństwa cichną, zamierają.

Recepcjonistka zatrzymuje małego otwartego dżipa, podwozi nas. Tak, to ja dzwoniłam. Pracownicy mają ubrania koloru khaki, kapelusze, ciężkie buty i grube bawełniane skarpetki. W holu powoli obracają się wentylatory, nie przynoszą ochłody. Siedzimy jak otępiali w żarłocznym upale, w wielorybie temperatury, który nas pochłonął.

W naszym domku bez prądu trzepoczą motyle. Otwieram wszystkie klapy i drzwi. Kładziesz się na łóżku, zamierasz. Siedzę przy tobie, patrzę nad tarasem na morze.

Wsluchujemy się w otaczające nas cykady i szum krzaków.

Wieczorem udaje nam się wstać, przejść kilka kroków do morza. Kąpiemy się mimo meduz, które mogą śmiertelnie poparzyć, przed czym ostrzegają małe znaki. Tam, gdzie rozbijają się fale, stoją dwa krzesła pod słomianym parasolem, są mokre. Siadamy ze stopami w wodzie, wyglądamy delfinów. Mężczyzna i dwoje dzieci idą jedno za drugim plażą, tu, gdzie piasek styka się z wodą. Mówisz, że dziewczynka wskakuje w fale z taką lekkością, że mógłbyś płakać.

Bierzemy prysznic przed domkiem, na wolnym powietrzu, zakładamy świeże ubrania. Chodzimy po ogrodzie, drewnianymi kładkami przez błyszczącą, migotliwą zieleń.

Obok recepcji pluska bajorko. Żaby kumkają. Dwie siedzą blisko drzwi na schodach do pryszniców i toalet, jedna za drugą, w takiej samej pozycji, są tak zielone, że bierzemy je za plastikowe. Podchodzimy bliżej, dopiero teraz widzimy, jak pulsuje ich skóra. Szukamy innych żab, odkrywamy je w muszlach klozetowych, w zlewach, kiedy odkręcamy kran, wskakują pod bieżącą wodę.

Nocą wieje wiatr, nie mogę spać. Siadam na zewnątrz, pod jasnym księżycem, od którego morze robi się czarne.

Drzwi stukają. Wiatr targa materiałami, moskitierą. Twoja lewa noga odkryta do kolana. Kiedy się budzisz, mówisz, że śniłeś o Broome. Idziemy jeszcze raz do pralni. Osioł mija nas powolnym krokiem na drewnianej kładce, pije z sadzawki. Myjemy zęby pod żabami.

Broome, 11 listopada. Od trzech dni jesteśmy w Broome.

Nie kręciliśmy głowami, jeżdżąc jego ulicami. Obejrzymy sobie to miejsce, a ty tłumaczysz, że z perspektywy wieczności trzy dni to niewiele mniej niż osiemdziesiąt lat. Na

Cable Beach, najdłuższej tu plaży, surferzy rzucają deski na fale, spacerowicze wbiegają z psami w pianę.

Udajemy, że tu mieszkamy, nosimy nasze pranie do Hiltona, chodzimy co dzień do restauracji, długo zastanawiamy się, jaki kupić obraz od galerysty, który nie zna się na obrazach, ale jest miły. Broome jest takie, że nie chcemy go opuszczać. Spokojne ulice, drzewa eukaliptusowe, których gałęzie sięgają asfaltu, drewniane werandy, niezmiennie niebo w pastelach. Niemal pusta plaża z reflektorami świecącymi nocą w morze, a mimo to go nie widać, tylko słysząc.

Każdego ranka chodzimy przez wydmy nad morze i czekamy na delfiny. Nie ruszamy się z miejsca godzinami.

A potem widzimy je: najpierw płetwy grzbietowe, uszkodzone w walce z rekinami, potem trzy, cztery delfiny obok siebie, zbliżają się.

## *Spis treści*

OSTATNIA NIEDZIELA .....	3
LYDIA .....	11
ERA LODOWCOWA .....	16
MODLITWY .....	27
OSIEMNASTY, MOŻE DZIEWIĘTNASTY GRUDNIA .....	30
SZCZĘŚCIE .....	37
PSY .....	42
NAJGOREŃSZE LATO .....	46
LARRY .....	51
LAS BOŻONARODZENIOWY .....	65
KOGUTY .....	71
DELFINY .....	77